

JADWIGA KIWERSKA
Poznań

EWOLUCJA PRZYWÓDZTWA STANÓW ZJEDNOCZONYCH PO ZIMNEJ WOJNIE*

Utwardzonym elementem obrazu świata w ostatnich dziesięcioleciach była dominacja Stanów Zjednoczonych. Przynajmniej od zakończenia II wojny światowej mówimy o roli USA jako przywódcy na arenie międzynarodowej, zdolnego zjednoczyć wokół siebie partnerów i skutecznie oddziaływać na bieg spraw lub nawet „na własną rękę” kształtować porządek światowy. „Ameryka, tak jak swego czasu Rzym, Wenecja czy Imperium Brytyjskie, jest głównym kreatorem współczesnego świata, mocarstwem popychającym go naprzód, siłą decydującą o równowadze i stawiającą tamę anarchii” – tak jeszcze w 2003 r. pisał Robert D. Kapłan, jeden z czołowych amerykańskich analityków politycznych¹.

Tymczasem dzisiaj, w drugiej dekadzie XXI w., coraz częściej pojawia się pytanie, czy Stany Zjednoczone zachowały swój status dominującego mocarstwa na arenie międzynarodowej. Czy ich wpływ na rozwiązywanie kluczowych problemów czy to globalnych, czy regionalnych pozostał równie wielki, jak był jeszcze kilkanaście lat temu? Może słabnie nie tylko ich zdolność kreowania sytuacji międzynarodowej, ale i gotowość podejmowania wyzwań oraz rozwiązywania problemów? Czyż zatem nie jesteśmy świadkami kresu roli Ameryki jako lidera na scenie międzynarodowej?

Niewątpliwie, w ostatnich latach możemy obserwować wyraźną ewolucję amerykańskiego przywództwa, wymuszoną zmieniającą się sytuacją w świecie, gdzie do głosu dochodzą alternatywne potęgi i siły, często konkurencyjne wobec USA i zdecydowanie osłabiające ich pozycję na arenie międzynarodowej. W jakimś stopniu jest to też efekt własnych błędów Ameryki, jej zaniedbań lub zbyt daleko idących ambicji i zamierzeń. Źle skalkulowane plany, budzące opór i niechęć kosztowne i trudne do zrealizowania cele, wreszcie porażki w starciu z wyzwaniami, nie tylko podważyły wiarygodność Stanów Zjednoczonych jako lidera, ale też osłabiły ich potencjał i możliwości działania.

O tych problemach traktuje poniższy artykuł. Opisuje on czynniki i uwarunkowania amerykańskiego przywództwa na przełomie wieków. Próbuje zwrócić uwagę na przyczyny i skutki deprecjacji amerykańskiej roli w świecie. Zakres tematyki sprowadził, że – siłą rzeczy – dokonano syntetycznej wykładni amerykańskiej polity-

* Artykuł oparty na monografii: J. Kiwerska, *Światowe przywództwo Ameryki w XXI wieku*, Poznań 2015.

¹ R. D. Kaplan, *Supremacy by Stealth*, „The Atlantic” July/August 2003.

ki zagranicznej w ostatnim ćwierćwieczu. Nie uniknięto też odniesień do predyspozycji i działań kolejnych gospodarzy Białego Domu, zakładając, że rola prezydenta w kształtowaniu strategii zewnętrznej Waszyngtonu jest ogromna.

Koniec zimnej wojny stworzył dla amerykańskiego przywództwa wyjątkowo korzystną sytuację – upadek komunizmu i rozpad Związku Radzieckiego oznaczał zastąpienie dotychczasowej polaryzacji sceny światowej absolutną dominacją Stanów Zjednoczonych, teraz jedyne już supermocarstwa. O jego potęgę decydowały: najbardziej konkurencyjna i wydajna gospodarka w świecie, największy potencjał wojskowy, ekspansywna kultura i technologia, niekwestionowana siła polityczna, potwierdzona zwycięstwem w zimnej wojnie². W skali globalnej powstała więc sytuacja niemająca precedensu w dziejach nowożytnych i dlatego amerykańskie przywództwo było czymś naturalnym oraz oczywistym – *Pax Americana* wydawał się być niezagrożony.

Stany Zjednoczone jako jedyne supermocarstwo nie mogły się też wyrzec odpowiedzialności za bieg spraw na arenie światowej. Zwłaszcza, że świat, w tym jego wschodnioeuropejska część, wszedł w trudny okres transformacji oraz poszukiwań skutecznych gwarancji bezpieczeństwa. W innych zaś regionach globu koniec dwubiegunowego ładu wyzwolił grę różnych ambicji i niebezpiecznych rywalizacji. Efektem było pojawienie się nowych zagrożeń i wyzwań. Prezydent George H. W. Bush gotowy był podjąć te wyzwania i nie tylko pełnić rolę lidera, ale też aktywnie uczestniczyć w tworzeniu pozimnowojennego ładu w świecie. Sformułował nawet koncepcję określoną mianem „nowego porządku światowego”, która była syntezą ambicji Ameryki do modelowania świata według własnych wyobrażeń – *liberal world order* oraz pragmatycznych celów jej dyplomacji. Była to zarazem próba połączenia idei wyłącznie amerykańskiego przewodzenia (czyli unilateralizmu) ze współpracą wielostronną (czyli multilateralizmu)³.

Taki charakter miała zbrojna interwencja w Zatoce Perskiej na początku 1991 r., której celem było zmuszenie Iraku do opuszczenia bezprawnie zaanektowanego Kuwejtu. Amerykanie przewodzili wówczas międzynarodowej koalicji skupiającej, obok sojuszników z *NATO*, m.in. europejskie kraje pokomunistyczne, państwa arabskie oraz Izrael, nieformalnie wspierający tę grupę państw. Udało się również uzyskać mandat ONZ (co znaczyło, że nawet Moskwa nie opowiedziała się przeciwko), co nadało akcji charakter całkowicie legalny z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Błyskotliwe zwycięstwo koalicji pod przywództwem USA potwierdziło i umocniło ich rangę w świecie.

Równocześnie jednak wojna o Kuwejt okazała się przedsięwzięciem bardzo obciążającym amerykański budżet – jej koszt wynoszący ponad 70 mld *USD* wprawdzie został w 60 proc. pokryty przez sojuszników, głównie przez państwa arabskie, jednak

² Zob. Z. Brzeziński, *Wielka szachownica. Główne cele polityki amerykańskiej*, Warszawa 1998, s. 28.

³ L. Martin, *The Changing Role of the United States in Global Order*, w: S. Sato, T. Taylor (ed.), *The Security Challenges for Japan and Europe in a Post-Cold War Order*, London 1993, s. 86.

i tak był to znaczny wydatek dla USA, wpędzający je w recesję. Nasiliła się niechęć Amerykanów nie tylko do wszelkiego rodzaju zbrojnych interwencji, ale i nadmiernego angażowania się ich kraju na arenie międzynarodowej, zwłaszcza w sytuacji, gdy nie ma już zagrożenia komunistycznego. W debacie publicznej, która wówczas przetoczyła się przez Amerykę, domagano się ograniczenia amerykańskich zobowiązań w świecie. Dowodzono, że należy skupić się na pomnażaniu swych wewnętrznych zasobów i umocnieniu potencjału gospodarczego, natomiast takie cele, jak stabilizacja w świecie, budowa porządku międzynarodowego lub umacnianie demokracji w odległych często regionach globu są zbyt kosztowne i trudne do zrealizowania⁴. Przypominało to do złudzenia dyskusję, jaka rozgorzała w USA po I wojnie światowej i która przesądziła o tym, że Ameryka wróciła wtedy w koleiny izolacjonizmu.

Neoizolacjonistyczne nastroje pozimnowojenne zdyskontował William J. Clinton, ubiegający się o prezydenturę w 1992 r. z ramienia Partii Demokratycznej. Swą kampanię wyborczą Clinton prowadził pod hasłem *It's economy, stupid* („Gospodarka, głupcze”), co odpowiadało większości Amerykanów, którzy oczekiwali raczej oferty programowej odnoszącej się do kwestii gospodarczych i społecznych, niż koncentracji energii na polityce zagranicznej i rozwiązywaniu problemów świata. Wraz z wyborem Clintona wysunięto pospieszny wniosek, że efektem będzie abdykacja Ameryki z roli lidera. Jednak scena międzynarodowa szybko i silnie zaabsorbowała administrację Clintona. Konflikt na Bliskim Wschodzie, Somalia, Haiti, wojny na Bałkanach, debata nad rozszerzeniem *NATO*, niepewność co do sytuacji w Rosji oraz w byłych republikach radzieckich spowodowały, że trzeba było zwrócić większą uwagę na otoczenie zewnętrzne, a z czasem zaakceptować zobowiązania związane z przywódczą rolą Ameryki. W sytuacji, gdy niekwestionowana siła militarna i polityczna były po stronie USA, powrót do wstrzemięźliwości w polityce zagranicznej nie był możliwy. Henry Kissinger przekonywał, że brak aktywności międzynarodowej „skazuje Stany Zjednoczone na postępujący zanik ich znaczenia w świecie, a sam świat na pogłębiającą się niestabilność”⁵.

Początkowo polityce Clintona przyświecała bardziej idea multilateralizmu niż działanie w pojedynkę. Taka taktyka uwzględniała zarówno interesy amerykańskie, jak i realia nowego, współzależnego świata. Dążono również do legitymizacji działań poprzez uzyskanie mandatu organizacji międzynarodowych, głównie ONZ. W rzeczywistości często oznaczało to chwiejność i kunktatorstwo w działaniu, zrzucając odpowiedzialności na struktury międzynarodowe, czyli *de facto* zmniejszoną skuteczność Waszyngtonu na scenie światowej. Propagowany przez Biały Dom multilateralizm spotkał się więc z ostrą krytyką ze strony przeciwników osłabiania roli USA w świecie oraz ograniczania ich swobody działania. Krytyka ta szczególnie ostro formułowana była w szeregach Partii Republikańskiej. Pomysł, aby decyzje Stanów Zjedno-

⁴ Zob. T. G. Carpenter, *The New World Disorder*, „Foreign Affairs” Fall 1991, No 84, s. 24 i n; także: tenże, *Beyond NATO. Staying out of Europe's Wars*, Cato Institute 1994, passim; B. C. Schwarz, „Cold War” *Continuities: US Economic and Security Strategy Towards Europe*, „The Journal of Strategic Studies” December 1994, No 4, passim.

⁵ H. Kissinger, *At Sea in a New World*, „Newsweek” 6.06.1994.

czonych podlegały aprobachie ze strony ONZ, uznano za „paranoiczne fantazjowanie, spotęgowane przez brak zdecydowania administracji Clintona i jej retorykę”⁶.

Słabości doktryny multilateralizmu z czasem dostrzegła również ekipa Clintona. Doświadczenia związane z nieudaną akcją humanitarną w Somalii w 1993 r.⁷, a następnie kryzysem w Bośni-Hercegowinie (1992-1995)⁸ potwierdziły konieczność zdecydowanego przywództwa. Ograniczona aktywność USA na forum międzynarodowym coraz wyraźniej narażała też na szwank ich prestiż i rangę. W rezultacie poprzedni entuzjazm dla działań wielostronnych uległ stonowaniu. Deklarowano, że działanie w pojedynkę lub partnerstwo z innymi będzie podejmowane w zależności od tego, co okaże się najefektywniejsze w danych okolicznościach. Z niemąłą jednak mocą podkreślano, że wszelkim działaniom, nawet z mandatem ONZ lub pod flagą *NATO*, będą przewodziły Stany Zjednoczone.

Administracja Clintona w poczuciu, że świat oczekuje zdecydowanego przywództwa i że nie można dalej narażać na szwank prestiżu Ameryki, podjęła brawurowe działania. Najpierw w 1994 r. przeprowadzono skuteczną interwencję zbrojną na Haiti. Następnie w lecie 1995 r. USA zainicjowały serię rozległych ataków lotniczych na pozycje serbskie w Bośni-Hercegowinie. Okazało się, podobnie jak wcześniej w Zatoce Perskiej, że siła jest czasem skutecznym środkiem uprawiania polityki. Wymuszając w ten sposób negocjacje pokojowe, USA wzięły na siebie odpowiedzialność za zakończenie wojny w Bośni i Hercegowinie. Stronom zaangażowanym w konflikt Waszyngton przedstawił plan jego rozwiązania. Negocjacje zakończono w grudniu 1995 r. podpisaniem układu pokojowego.

Panowały dość zgodne opinie, że Stany Zjednoczone pod wpływem doświadczeń z byłej Jugosławii powróciły z całą siłą nie tylko do polityki zaangażowania w świecie, ale przede wszystkim do roli lidera globalnego. „Jedynie my możemy przewodzić. Jaki byłby świat bez amerykańskiego przywództwa” – pytał retorycznie sekretarz stanu Warren Christopher, wcześniej uosabiający bierność i nieskuteczność amerykańskiej dyplomacji⁹. Stało się coś jeszcze – ekipa Clintona, dotąd zdająca się być ogarnięta „syndromem Wietnamu”, przełamała niechęć wobec stosowania siły militarnej i gotowa była wysyłać amerykańskich żołnierzy na pola bitwy, nawet do

⁶ H. Grunwald w „Time” 26.06.1995; zob. także J. J. Kirkpatrick, *Defining a Conservative Foreign Policy*, „The Heritage Lectures” 25.02.1993.

⁷ Brak wyraźnego przywództwa i tym samym koordynacji działań stał się przyczyną ogromnego zamętu oraz małej skuteczności, jakie towarzyszyły operacji prowadzonej pod flagą ONZ. W październiku 1993 r. zabito 18 żołnierzy amerykańskich, a ich ciała miejscowa ludność wlokła ulicami Mogadiszu. Taki obraz, jaki miliony Amerykanów zobaczyło na ekranach telewizorów, był upokarzający dla jedynego supermocarstwa.

⁸ Przez kilka lat państwa europejskie i USA – wykazując brak zdecydowania i skuteczności – nie były w stanie powstrzymać krwawej wojny, toczonej między bośniackimi Serbami a Chorwatami i muzułmanami, dążącymi do utrzymania niepodległego i integralnego państwa. Okazało się, że różne organizacje (ONZ, KBWE/OBWE) oraz różne inicjatywy są niewiele warte bez wyraźnego lidera i jego zdecydowanej woli działania, także militarnej.

⁹ W. Christopher, *America's Leadership, America's Opportunity*, „Foreign Policy”, Spring 1995, No 98, s.8.

odległych części świata, tradycyjnie już uzasadniając to koniecznością zabezpieczenia nie tyle interesów amerykańskich, ile wolnego świata.

Rolę zdecydowanego i skutecznego lidera Ameryka odegrała także podczas konfliktu w Kosowie. Tym razem USA nie zwlekały zbyt długo z użyciem argumentu siły. Operacja militarna *Allied Force*, rozpoczęta 24 marca 1999 r. bez mandatu ONZ, była pierwszą akcją ofensywną, jaką w swej 50-letniej historii realizowało *NATO*. Po raz pierwszy też sojusz państw demokratycznych zdecydował się interweniować w imię praw człowieka, odrzucając zasadę poszanowania suwerenności państwa – Serbii. Tym samym naruszono prawo międzynarodowe, a Stany Zjednoczone okazały się kreatorem odmiennych od powszechnie przyjętych w świecie demokratycznym zasad postępowania. U źródeł determinacji Waszyngtonu leżało jednak przekonanie o wyższości praw człowieka i czynnika humanitarnego nad poszanowaniem suwerenności państwa. I chociaż interwencja w Kosowie pozostała kontrowersyjna z prawnego punktu widzenia, to wzmacniała przywództwo USA, uwypuklając moralny i humanitarny imperatyw tej dominacji.

Procesem, który znacząco cementował amerykańskie przywództwo, było także rozszerzenie *NATO*. Przyjęcie 12 marca 1999 r. do Paktu Północnoatlantyckiego pierwszych trzech państw z Europy Środkowo-Wschodniej oznaczało nie tylko przesunięcie na wschód obszaru bezpieczeństwa, gwarantowanego przez ten sojusz wojskowo-polityczny, ale także silniejsze związanie całego kontynentu europejskiego ze Stanami Zjednoczonymi oraz utwierdzenie ich roli lidera. Wszak nowymi państwami członkowskimi *NATO* stały się Polska, Czechy i Węgry, w których przeważająca część opinii publicznej tradycyjnie traktowała Amerykę jako wymarzonego sojusznika strategicznego i naturalnego przywódcę wolnego świata.

Jakkolwiek w okresie prezydentury Clintona przywództwo amerykańskie pozostało niekwestionowanym faktem, to jednak nie znaczyło, że Waszyngton mógł dyktować warunki i narzucać swą wolę bez ograniczeń. Amerykanie byli świadomi rosnących ambicji Europy Zachodniej, zintegrowanej już w Unii Europejskiej i coraz bardziej zainteresowanej prowadzeniem wspólnej polityki w zakresie bezpieczeństwa, czego efektem mogło być podważenie amerykańskiego prymatu i rosnące trudności w jego realizacji. Zaniepokojenie administracji Clintona budziły też nowe wyzwania, zwłaszcza zagrożenie terroryzmem międzynarodowym i proliferacją broni masowego rażenia. Waszyngton oczekiwał, że w walce z tymi globalnymi wyzwaniami sojusznicy europejscy odegrają rolę aktywnego partnera. W styczniu 1998 r., wraz z ponownym wzrostem napięcia w rejonie Zatoki Perskiej, administracja Clintona zabiegała o poparcie sojuszników dla ataków lotniczych na Irak¹⁰. Spotkało się to z ich strony ze zdecydowaną odmową, tylko Brytyjczycy zadeklarowali pomoc. W ten sposób uświadomiono administracji Clintona, że Europa nie jest już posłusznym wykonawcą

¹⁰ Władze Iraku zablokowały prace grupy ekspertów Komisji ONZ ds. Rozbrojenia Iraku, sprzeciwiając się kontroli swych obiektów strategicznych oraz rezydencji prezydenckich. Było to wyraźne pogwałcenie rezolucji Rady Bezpieczeństwa.

zamierzeń Waszyngtonu i nie ma ochoty realizować u jego boku zobowiązań globalnych. To jest zadanie Ameryki.

Pomimo zawirowań i rysujących się na horyzoncie wyzwań, bilans ośmiu lat urzędowania Clintona w Białym Domu wypadł pozytywnie. Demokratyczna administracja pozostawiała po sobie nie tylko nadwyżkę budżetową w wysokości około 300 mld USD, co miało niebagatelne znaczenie dla umocnienia rangi USA, ale przede wszystkim dobre polityczne perspektywy dla ich roli w świecie. Stany Zjednoczone nadal zbierały profity swego zwycięstwa w zimnej wojnie i choćby z tego względu w zasadzie nie kwestionowano ich supremacji. Utrzymały one status lidera i kreatora w polityce światowej także dlatego, że brakowało konkurentów na tym polu. Clinton mógł zatem z pełnym przekonaniem podkreślać, że USA stanowią „niezbędny” (*indispensable*) czynnik zabezpieczenia porządku światowego¹¹.

Ważne było również to, że podkreślając dominującą rolę USA administracja Clintona starała się jednak przestrzegać zasady multilateralizmu oraz podejmować działania we współpracy z sojusznikami i przy aprobacie społeczności międzynarodowej. Nawet eksponując hasło „szerzenia demokracji”, traktowano je bardziej w kategorii figury retorycznej, a nie celu strategicznego z trudnymi do przewidzenia konsekwencjami. Celem strategicznym było zabezpieczenie liberalnego ładu w świecie, stanowiącego uzasadnienie dla większości inicjatyw i zaangażowania na arenie międzynarodowej. Amerykanie mieli też poczucie, że ich prezydent dba o stabilizację w świecie, zabezpiecza amerykańskie interesy za granicą, zmusza innych do respektowania ich kraju i umacnia jego rolę na arenie międzynarodowej. Ale nie brakowało refleksji, że tak znaczące zaangażowanie w różnych rejonach kuli ziemskiej nie tylko budzi podziw, ale często potęguje niechęć i wywołuje irytację, mnożąc wrogów Ameryki w świecie.

Z taką eksplozją nienawiści do swego kraju zderzył się George W. Bush jr. Trudno przesądzić, w jakim stopniu świadomość faktu, że dominacja Stanów Zjednoczonych budzi coraz więcej niechęci w świecie, stanowiła punkt wyjścia dla programu wyborczego republikańskiego kandydata w wyścigu prezydenckim 2000 r. W każdym razie, w tych nielicznych punktach odnoszących się do polityki zagranicznej był to program krytyczny wobec działań administracji Clintona. Odpowiadając na stwierdzenia urzędującej ekipy, że Ameryka jako jedyne supermocarstwo powinna przewodzić światu i wykorzystując swą obecność wojskową, wspierać przemiany demokratyczne, Bush sugerował ograniczenie działań zewnętrznych i silniejsze zważanie na reakcję świata. „Ameryka nie może być wszystkim dla wszystkich. Jesteśmy miłującym wolność krajem i jeśli będziemy aroganccy, to będą nas jako takich traktować, a jeśli będziemy skromni (*humble*), będą nas szanować” – przekonywał republikański kandydat¹². Nie można wykluczyć, że Bush rzeczywiście opowiadał się za większą powściągliwością

¹¹ Bill Clinton, Second Inaugural Address, January 20, 1997, www.bartleby.com/124/pres65.html; zob. też R. Kagan, *Superpowers Don't Get to Retire: What our tired country still owes the world*, „Foreign Policy” May 26, 2014, www.newrepublic.com/article/117859/allure-normalcy-what-america-still-owes, s. 20.

¹² The Second 2000 Gore-Bush Presidential Debate (www.debates.org/pages/trans2000a.html).

Stanów Zjednoczonych na arenie międzynarodowej, choć w dużym stopniu ta skłonność wyływała z jego niekompetencji w sprawach polityki zagranicznej i ogólnej niechęci do zajmowania się problematyką międzynarodową.

Pytaniem zasadniczym pozostało, czy możliwe będzie utrzymanie przez jedyne supermocarstwo polityki ograniczonej w celach i kierunkach. Na początku prezydentury Busha można było odnieść wrażenie, że tak się dzieje. Z pozoru była ta polityka bardziej umiarkowana i ograniczona w działaniu. W rzeczywistości jednak elementem nowego przywództwa była skłonność do działań ograniczonych tylko do tych sfer, które miały ścisły związek z amerykańskim interesem. Z drugiej zaś strony, narastały trudności w porozumieniu się z partnerami, nawet z tymi tradycyjnie najbliższymi Ameryce – z niektórymi sojusznikami europejskimi. Pozostał też znany z historii problem prób równoważenia przez mniejsze potęgi siły tej, która wyraźnie się wybija i wykorzystując swój status jedynego supermocarstwa, chce narzucać własną wolę w złudnym przekonaniu, że jej interesy są w naturalny sposób zbieżne z interesami świata.

Wydarzenia, które nastąpiły po ataku terrorystycznym na Stany Zjednoczone, uczyniły tak rozumiany problem amerykańskiego przywództwa w świecie jeszcze bardziej ważkim. Trudno przecenić znaczenie tego, co się stało 11 września 2001 r. Pojawiły się opinie, że atak Al-Kaidy na Nowy Jork i Waszyngton wyznaczył właściwy początek XXI w., ukazując światu skalę zagrożenia, zmuszając rządy do znalezienia szczególnych środków zaradczych. Przede wszystkim przesądził o amerykańskiej strategii w następnych latach, ponieważ Amerykanie przeżyli trudny do wyobrażenia szok spowodowany skalą zniszczeń, liczbą ofiar, dramatyczną spektakularnością tego wydarzenia. Nawet uderzenie Japończyków na Pearl Harbor było w sensie psychologicznym wydarzeniem o znacznie mniejszej doniosłości, gdyż stało się to na peryferiach amerykańskiego terytorium. Tym razem uderzono jakby w serce Stanów Zjednoczonych, grzebiąc iluzję Amerykanów, że ich kraj to „bezpieczna forteca”, odgradzona dwoma oceanami, sąsiadująca z niegroźnymi państwami i chroniona bezprecedensową potęgą militarną. Amerykanie stracili poczucie bezpieczeństwa, które przez dziesięciolecia określało ich stosunek do świata zewnętrznego, ale też wpływało na amerykańską politykę zagraniczną.

Właśnie poczucie bezpieczeństwa powodowało, że USA mogły przez ponad wiek tkwić w izolacjonizmie, unikając aktywności w świecie, zaś po II wojnie światowej – bez zbytej obawy o własne bezpieczeństwo – Ameryka zaangażowała się na arenie międzynarodowej w stopniu bezprecedensowym w swej historii. Było to pełnienie pewnej misji w imię – jak głoszą – wartości i zasad, a w rzeczywistości szeroko rozumianych amerykańskich interesów. Amerykanie czynili tak w przekonaniu, że nie spowoduje to uszczerbku dla ich bezpieczeństwa¹³. Nowojorska hekatomba zniszczyła to poczucie bezpieczeństwa, a w zamian do ich świadomości wkroczył strach. Okazało się, że pełnienie roli lidera, którego wpływy rozciągają się na cały

¹³ Zob. R. Dallek, *The Postwar World: Made in the United States*, w: S.J. Unger (ed.), *Estrangement: America and the World*, New York 1985, s. 32 i n.

świat, rodziło nie tylko podziw i wdzięczność, ale także niechęć i wrogość. Pytano, co się wobec tego stanie z amerykańskim przywództwem i jaką rolę będą teraz USA odgrywały w świecie?

Administracja Busha stanęła przed wielkim wyzwaniem, ale i ogromną szansą wykorzystania dramatycznej sytuacji do wykreowania choćby mocnej płaszczyzny współpracy międzynarodowej. Pozytywnym czynnikiem była reakcja niemal całego świata po ataku na Amerykę, która zyskała w owych dniach ogromny ładunek poparcia i solidarności, a także siłę moralną, której skala przewyższała nawet tę, powstałą na frontach II wojny światowej. Jakkolwiek brzmiało to paradoksalnie, uderzenie Al-Kaidy mogło przynieść pozytywne skutki, jednocząc państwa i narody we wspólnym froncie antyterrorystycznym, utwierdzając skuteczne i niemal powszechnie akceptowane amerykańskie przywództwo. Z dzisiejszej perspektywy można powiedzieć, że administracja Busha tej szansy nie wykorzystała. Co więcej, spowodowała, że został zmarnowany wielki kapitał zaufania i ogromne możliwości oddziaływania na sytuację międzynarodową. Siła moralna i poparcie, jakimi Ameryka cieszyła się we wrześniu 2001 r., uległy ogromnej deprecjacji. W dużym stopniu stało się tak dlatego, że ekipa Busha, prowadząc wojnę z terroryzmem, popełniła błędy strategiczne i taktyczne. A przecież działała z pobudek, które do pewnego stopnia były uzasadnione.

Reakcją na atak terrorystyczny miała być skuteczna i stanowcza akcja, traktowana nie tylko jako odwet, ale zabezpieczenie przed „powtórką z historii” poprzez ukaranie winnych, a następnie wyeliminowanie terroryzmu. Temu zadaniu podporządkowano również styl działania i taktykę, a te w dużej mierze określał charakter zagrożenia: trudny do zidentyfikowania wróg, niekontrolowany przez żaden rząd, choć korzystający ze wsparcia niektórych państw. Dyplomacja, prowadzona nawet z pozycji siły, wydawała się nieskuteczna w odniesieniu do terroryzmu, który wyrósł na fanatyzmie i nienawiści – obcy był mu kompromis, negocjacje i ograniczenie w celach, charakterystyczne dla państw i ich dyplomacji.

Administracja Busha uznała więc, że wojna z terroryzmem wymaga nowej taktyki. W ogłoszonej we wrześniu 2002 r. Strategii Bezpieczeństwa Narodowego pojawiła się formuła uderzenia powstrzymującego zagrożenie, czyli akcja prewencyjna¹⁴. Wielokrotnie w historii państwa podejmowały działania prewencyjne lub wyprzedzające, jednak po raz pierwszy uczyniono z tego oficjalną doktrynę. Kolejnym elementem tej tzw. doktryny Busha była możliwość odejścia od taktyki multilateralizmu. Stwierdzono, że w obliczu nowych zagrożeń Waszyngton nie może być krępowany obowiązkiem występowania tylko w koalicji lub uzyskawszy akceptację społeczności międzynarodowej. Stany Zjednoczone są gotowe współpracować z partnerami, ale zastrzegają sobie prawo do akcji samodzielnych – unilateralnych, nawet bez akceptacji wspólnoty międzynarodowej.

Wprawdzie uderzenie w październiku 2001 r. na Afganistan, gdzie znajdowały się obozy Al-Kaidy i gdzie ukrywał się ich przywódca Osama bin Laden, przeprowa-

¹⁴ The National Security Strategy of the United States, Washington, The White House, September 2002.

dzono pod sztandarem *NATO* i zgodnie z wprowadzonym w życie art. 5 traktatu waszyngtońskiego oraz z mandatem ONZ na mocy art. 51 Karty NZ mówiącym o prawie do obrony własnej. Można było wówczas odnieść wrażenie, że USA zdecydowały się uczynić wojnę z terroryzmem walką wspólną, prowadzoną w szerokiej koalicji antyterrorystycznej. Zresztą państwa sojusznicze były gotowe do bezpośredniego, u boku Stanów Zjednoczonych, udziału w ataku na Afganistan. Był to efekt pierwszego szoku po uderzeniu terrorystycznym na Amerykę i uświadomieniu sobie skali zagrożenia. Poza tym administracja Busha nie pozostawiała wyboru, zapowiadając „albo jesteście z nami, albo z terrorystami”¹⁵.

W praktyce jednak interwencja w Afganistanie okazała się akcją *stricte* amerykańską – USA prowadziły ją niemalże samodzielnie, wchodząc jedynie w dwustronne układy z niektórymi członkami *NATO*, głównie Wielką Brytanią i nie konsultując z nimi decyzji. Mogło tak się stać, gdyż przewaga militarna USA nad sojusznikami była tak wielka, że pomoc z ich strony potrzebna była Amerykanom raczej w wymiarze symboliczno-politycznym. Pewną rolę odegrały też obawy Waszyngtonu o kunktatorstwo przywódców europejskich, będących pod rosnącą presją antyamerykańskich nastrojów społecznych¹⁶.

W efekcie, choć Afganistan dowiódł potęgi amerykańskiej i umocnił status USA jako supermocarstwa, to jednak ich wizerunek w oczach wielu partnerów ucierpiał. Uznano, że ignorując sojuszników i nie chcąc się z nimi dzielić odpowiedzialnością, USA przyjmują postawę aroganckiego hegemonu. Kampania afgańska, zamiast umocnić współpracę Ameryki z sojusznikami i potwierdzić znaczenie działania multilateralnego, spowodowała głęboką rysę w jej relacjach z innymi państwami, zwłaszcza partnerami europejskimi. To, co dotychczas uchodziło za czynnik rangi Ameryki w świecie – układ transatlantycki z najważniejszym jego filarem – Paktem Północnoatlantyckim, było przez Amerykanów lekceważone i traciło na znaczeniu. Wypadało zadać pytanie, jak to wpłynie na charakter i siłę amerykańskiego przywództwa w świecie.

Po Afganistanie było jeszcze gorzej. Ekipa Busha z zakończonej z pozoru pomyślnie kampanii przeciwko Al-Kaidzie i talibom wyciągnęła własne wnioski. Skonstatowano skalę własnego potencjału wojskowego, rolę siły militarnej w realizacji celów politycznych, możliwość działania „na własną rękę”, wreszcie znaczenie zdecydowania i determinacji polityków. To były atrybuty, które – jak sądzono – pozwalają wyznaczyć ambitne cele i je realizować. Wśród założonych celów znalazły się nie tylko obrona żywotnych interesów Ameryki, zagwarantowanie jej bezpieczeństwa, ale też umocnienie i rozszerzenie porządku opartego na sprawdzonych wartościach i zasadach, czyli promowanie demokracji. Dostrzegano w tym zarówno długofalowe

¹⁵ G. W. Bush, Address to a Joint Session of Congress and the American People, September 20, 2001, www.whitehouse.gov/news/releases/2001/09/20010920-8.html.

¹⁶ Więcej na ten temat zob. J. Kiwerska, *USA – osamotnione mocarstwo w świecie zagrożeń*, „Przeгляд Zachodni” nr 1/2005, s. 29.

rozwiązanie problemu terroryzmu, jak i naturalne w świecie demokratycznym utwierdzenie przywództwa Stanów Zjednoczonych.

Te elementy nowej strategii zostały wprowadzone do „doktryny Busha”, która zakładała możliwość działań prewencyjnych i unilateralnych, z wykorzystaniem siły, której znaczenie w rozwiązywaniu problemów silnie wyeksponowano¹⁷. Błędem byłoby jednak jednoznacznie potępiać jej założenia. Zawierała ona przecież elementy zarówno idealistyczne, jak i pragmatyczne – nawiązując do tradycji amerykańskiej, odzwierciedlała też ducha czasu, w tym lęki i obawy społeczeństwa amerykańskiego. Z jednej strony były hasła o „promowaniu demokratycznych wartości”, wpisujące się w tradycyjne amerykańskie posłannictwo – misję naprawiania świata i budowy liberalnego porządku, o czym swego czasu mówił prezydent Woodrow Wilson i do czego nawiązywał Franklin D. Roosevelt oraz inni amerykańscy prezydenci. Nie był od tego wolny również prezydent Clinton. Zresztą najbardziej dobitne określenie „doktryny Busha” wprowadził do słownika Benjamin R. Barber, swego czasu doradca prezydenta Clintona. Jego zdaniem był to „idealistyczno-naiwny hegemonistyczny unilateralizm”¹⁸.

Z drugiej strony „doktryna Busha” odpowiadała na wyzwania nowej epoki, która nastąpiła po rozpadzie dwubiegunowego porządku w świecie. Wcześniej wystarczała strategia odstraszenia, którą można było szachować Moskwę. Teraz odstraszenie było nieskuteczne wobec przeciwnika nieposiadającego terytorium, którego musiałyby bronić. Dyplomacja zaś okazywała się bezradna, gdy przeciwnik odrzucał jakiegokolwiek ograniczenie celów i dążył do całkowitego zniszczenia wroga. Wobec takich wyzwań także multilateralizm mógł być nieskuteczny, gdyż groził ugrzęźnięciem w zawłościach proceduralnych i procesie wzajemnego dogadywania się partnerów, a w konsekwencji utrudniał podjęcie zdecydowanych i szybkich działań. Zresztą chodziło też o prostą konstatację faktu, że nie wszyscy zdecydują się wspierać Waszyngton w różnych ryzykownych akcjach, które USA jako supermocarstwo i „żandarm światowy” będą musiały inicjować.

Z kolei ataki wyprzedzające lub wojny prewencyjne były już wielokrotnie w historii stosowane, choćby przez Izrael w 1967 r. Sam Hugo Grotius, uważany za ojca prawa międzynarodowego, pisał: „Obrona jest konieczna wówczas, gdy mamy pewność nie tylko w odniesieniu do potęgi sąsiadów, ale także w odniesieniu do ich zamiarów” (*De iure belli ac pacis*, 1625). Tym razem jednak uczyniono z tego oficjalną doktrynę państwa. Choćby z tego powodu „doktryna Busha” była swoistą rewolucją w polityce zagranicznej, co zostało zresztą tak właśnie określone przez niektórych ekspertów¹⁹.

Także główne elementy nowej doktryny potęgowały wrażenie odejścia od ciągłości w stosunkach międzynarodowych. Po pierwsze, koncepcja roli siły w polityce i wizja siłowych rozwiązań wydawały się sprzeczne z zasadami działania państw de-

¹⁷ The National Security Strategy...

¹⁸ B. R. Barber, *Koniec ideologii. Rozpad doktryny neokonserwatywnej*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 17.05.2006.

¹⁹ Zob. I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution: The Remaking of America's Foreign Policy*, The Brookings Institution, May 2003, *passim*.

mokratycznych. Po drugie, „doktryna Busha”, choć nie wykluczała multilateralizmu i rozwiązań dyplomatycznych oraz legitymizacji prawnej, zakładała jednak z dużym stopniem prawdopodobieństwa działania unilateralne, w zależności od amerykańskich potrzeb i bez względu na opór innych. Po trzecie wreszcie, traktowana doktrynalnie wojna prewencyjna wprowadzała zamęt do jasnych zasad, gdyż była sprzeczna z prawem międzynarodowym, które sankcjonuje użycie siły głównie w obronie własnej i wyłącznie w razie faktycznego, nie zaś potencjalnego zagrożenia. Ameryka, uwalniając się od ograniczeń wynikających z prawa i z instytucji międzynarodowych, zmierzała zarazem do ograniczenia suwerenności państw, które mogłyby jej zagrozić. Istniała też uzasadniona obawa, że uderzenie wyprzedzające może stać się regułą stosowaną przez różne państwa, zależnie od ich woli i potrzeb.

W efekcie „doktryna Busha” wywołała krytyczną reakcję w świecie, szczególnie w Europie. Ostra polemika ujawniła nie tylko rozbieżność poglądów co do charakteru i metod walki z nowymi zagrożeniami, ale była okazją do zmanifestowania narastającej niechęci do USA i ich supremacji, a także ukrytych kompleksów i zadawnionych konfliktów. U podłoża sporu legło różne traktowanie samego zagrożenia terrorystycznego. Dla Europejczyków nie był to wstrząs na miarę burzącego poczucie bezpieczeństwa doświadczenia Amerykanów. Gdy minął pierwszy szok po ataku, uznano go w wielu państwach europejskich za jednorazowy akt, wprawdzie dramatyczny, ale nieuprawniający do ogłoszenia powszechnej krucjaty przeciwko terroryzmowi. Europejscy sojusznicy nie zamierzali temu zadaniu podporządkować innych priorytetów swej polityki, ogniskującej się na dalszej integracji i umacnianiu UE. Gdy więc Stany Zjednoczone były gotowe do działania w imię własnego i światowego bezpieczeństwa, niektórzy ich sojusznicy nie widzieli takiej potrzeby. Amerykę i Europę dzieliła ocena charakteru i skali nowego zagrożenia.

Spór ten odzwierciedlał również dwa sposoby myślenia o sytuacji międzynarodowej i roli USA w świecie. Zwolennicy „doktryny Busha” dowodzili prawa Ameryki jako supermocarstwa do działania prewencyjnego, nawet z użyciem siły militarnej. Natomiast oponenci, w tym wielu sojuszników europejskich, wątpili, czy siła może eliminować zagrożenia, odrzucali wojnę prewencyjną, uznając ją za działanie agresywne i sprzeczne z prawem. Przywiązani byli do dyplomacji jako najlepszej metody osiągnięcia celów politycznych i likwidowania zagrożeń, zaś wizja Busha przywodziła im na myśl działania „szeryfa z Teksasu”, który siłą zaprowadza porządek w miasteczku, nawet wbrew woli jego mieszkańców. Amerykański politolog Robert Kagan ujął tę różnicę w zgrabną formułę: Amerykanie są z Marsa, gdyż cenią siłę militarną i są gotowi ją wykorzystać jako instrument niszczenia zagrożeń i krzewienia demokracji, natomiast Europejczycy są z Wenus, gdyż wykreślili siłę jako środek osiągnięcia celów politycznych²⁰.

²⁰ R. Kagan, „*Of Paradise and Power*”. *America and Europe in the New World Order*, New York 2003, s. 3-4 (wyd. polskie: R. Kagan, *Potęga i raj. Ameryka i Europa w nowym porządku świata*, Warszawa 2003).

W odpowiedzi na rewolucję Busha w polityce zagranicznej, nie zgadzając się z założeniami jego strategii, przywódcy niektórych państw europejskich, w tym Francji i Niemiec, przybrali niemalże konfrontacyjną wobec Waszyngtonu postawę. Był to wyraz buntu przeciwko amerykańskiemu prymatowi, potwierdzenie tezy, że zbyt silne mocarstwo rodzi nieuchronną próbę jego zrównoważenia i osłabienia, odrealizowanie sytuacji, gdy Europa przez wiele lat była uzależniona od amerykańskiego patrona²¹. Praktycznym wyrazem „buntu” był kryzys decyzyjny w *NATO*, do którego doszło w lutym 2003 r., niemalże w przeddzień amerykańskiego ataku na Irak. Wtedy to Waszyngton nie mógł uzyskać zgody Sojuszu na dostarczenie Turcji systemu obrony przeciwrakietowej. Było to uderzenie w prestiż Ameryki, najsilniejszego członka organizacji i to ze strony małej Belgii, która wspierana przez Francję blokowała amerykańskie zamiary²².

Nie doszłoby jednak do tak wielkich zawirowań na arenie międzynarodowej, wstrząsu dyplomatycznego w układzie transatlantyckim i w rezultacie znacznego osłabienia pozycji Ameryki w świecie, gdyby tworzące „doktrynę Busha” założenia pozostały tylko na papierze. Problem polegał na tym, że zostały one wprowadzone w życie. Interwencja Stanów Zjednoczonych w Iraku, rozpoczęta 19 marca 2003 r., była dramatyczną i brzemienneą w skutki manifestacją „doktryny Busha”. Oto USA zainicjowały nowy ład światowy, w którym one decydują za wszystkich, przesadzają, co jest legalne, a co nie, wypełniają rolę supermocarstwa w sposób arbitralny, siłowy i sprzeczny z obowiązującymi normami prawa międzynarodowego. Interwencja w Iraku okazała się wszakże jednym z największych błędów administracji Busha i ekspozycją jej niekompetencji. Można było uznać zasadność niektórych motywów uderzenia na Irak, choćby chęć definitywnego rozprawienia się z reżimem Saddama Husajna. Ale oprócz tego u jego podstaw leżały przesłanki, w tym unieszkodliwienie arsenałów broni masowego rażenia oraz powiązania Saddama z Al-Kaidą, których prawdziwość była mocno wątpliwa. Podważyło to wiarygodność Stanów Zjednoczonych, profesjonalizm ich służb wywiadowczych, szczerłość polityków. Nadwężeniu uległa reputacja supermocarstwa, które bez dostatecznej analizy zasadności celów i ewentualnych konsekwencji, działało wedle z góry założonego planu. Irak okazał się więc awanturą wątpliwie uzasadnioną, kosztowną, kiepsko przeprowadzoną i w ostatecznym rachunku przegraną. Zamiast realizacji posłannictwa Ameryki, czyli wprowadzenia demokratycznego ładu, terytorium Iraku zostało zamienione w centrum terroryzmu, ogarnięte wojną domową, zdominowane przez bandytyzm i korupcję, a po latach w znacznej części opanowane przez tzw. Państwo Islamskie. Supermocarstwo dysponujące bezprecedensową siłą militarną straciło w Iraku miliardy dolarów, ponad 4 tys. żołnierzy (dziesiątki tysięcy ofiar wśród Irakijczyków) i prestiż.

²¹ Zob. szerzej J. Kiwerska, *Rozchodzenie się dwóch światów? Stany Zjednoczone i relacje transatlantyckie 1989-2012*, Poznań 2013 s. 210 i n.

²² Ch. Nesshöver, *Germany, France, America and the Iraqi Conflict: Gerhard in Big Trouble, Jacques in Great Shape, and George W.'s Interest in a United Europe*, American Institute for Contemporary German Studies, www.aicgs.org/c/nesshoever.shtml.

Zakwestionowany został ważny atut Stanów Zjednoczonych, wpływający na ich rangę, czyli moralne atrybuty państwa modelowo rozwijającego się, jego zasady i wartości, wytyczające wysokie standardy w świecie demokratycznym. To właśnie ta „miękka władza” tradycyjnie decydowała o sile amerykańskich wpływów²³. Tymczasem przypadki takie, jak Abu Ghraib, gdzie upokarzająco traktowano osadzonych Irakijczyków, czy przetrzymywanie więźniów w Guantanamo bez sądów, a także tortury stosowane przez Amerykanów w tajnych więzieniach *CIA*, stanowiły złamanie zasad i odejście od standardów demokratycznego państwa²⁴. Czy w tej sytuacji nie mieli racji ci, którzy w kwestiach praw człowieka i rządów prawa zaczęli uważać Amerykanów za hipokrytów? Hipokryta nie powinien przewodzić, gdyż moralne fundamenty jego prymatu są podejrzone. USA straciły więc wiele ze swej atrakcyjności i przyzwoitości, a przynajmniej wystawiły się na ostrzał krytyki w sferze *soft power*, która dotychczas była ich znaczącym atutem i dawała mocne podstawy do artykułowania, a nawet egzekwowania właściwych norm i zasad postępowania.

Nie ma wątpliwości, że wojna iracka, a zwłaszcza jej międzynarodowy kontekst, następnie długotrwały i wymagający ogromnych nakładów finansowych oraz obfitujący w ofiary proces budowania stabilizacji w Iraku spowodowały konsekwencje przesądzające w dużej mierze o deprecjacji roli Stanów Zjednoczonych w świecie. Decyzja administracji Busha, aby wobec zagrożenia działać zdecydowanie i bezkompromisowo, nie oglądając się na ograniczenia formalne i brak szerokiego poparcia, ale przy wykorzystaniu siły militarnej, zamiast zdecydowanych sukcesów w walce z zagrożeniami doprowadziła do eskalacji terroryzmu i chaosu w różnych częściach globu; zamiast wzrostu i umocnienia rangi USA – do jej podważenia, a nawet zakwestionowania. Sprowokowała wreszcie próby izolowania Ameryki na arenie międzynarodowej lub wręcz sprzysiężenia się przeciwko aroganckiemu supermocarstwu²⁵. Przede wszystkim jednak osłabiła moc sprawczą Waszyngtonu, jego możliwości kreowania sytuacji międzynarodowej oraz rozwiązywania problemów. Potwierdzeniem tego był przebieg szczytu *NATO* w kwietniu 2008 r., gdy prezydentowi Bushowi nie udało się przeforsować planu objęcia Ukrainy i Gruzji programem przygotowawczym do członkostwa w Sojuszu. W obawie o reakcję Rosji, która uważała te dwie były republiki radzieckie za swą potencjalną strefę wpływów i dlatego sprzeciwiała się ich zbliżeniu do *NATO*, część uczestniczących w szczycie państw postawiła weto wobec planów Busha²⁶. Na tym samym szczycie sojusznicy europejscy bez entuzjazmu odnieśli się do apelu amerykańskiego prezydenta o wysłanie dodatkowych oddziałów żołnierzy do Afganistanu, gdzie *NATO* realizowało misję stabilizacyjną i gdzie było

²³ Pojęcie *soft power* („miękka władza”) jako pierwszy użył Joseph Nye w książce *Bound to Lead* opublikowanej w 1990 r.

²⁴ Zob. F. Fukuyama, *Ameryka na rozdrożu. Demokracja, władza i dziedzictwo neokonserwatyzmu*, Poznań 2006, s. 166.

²⁵ I. H. Daalder, J. M. Lindsay, *The Bush Revolution...*, s. 43.

²⁶ Zob. M. Meckel, *Die NATO sollte in Bukarest nicht dem Drängen der USA auf eine schnelle Aufnahme der Ukraine und Georgiens nachgeben*, Deutsche-Aussenpolitik.de, Foreign Policy in Focus No. 360, April 2, 2008, www.deutsche-aussenpolitik.de/digest/op-ed_inhalt_47.php

już ponad 30 tys. żołnierzy amerykańskich. Zgodzono się tylko na niemal symboliczne – o kilkuset żołnierzy – zwiększenie niektórych kontyngentów narodowych, co stawiało *NATO* w trudnej sytuacji. Sojusz, który zwycięsko wyszedł z zimnej wojny i od tego czasu z powodzeniem podołał wielu wyzwaniom, teraz stanął w obliczu realnej porażki w wojnie z rebeliantami islamskimi. Nie trudno było przewidzieć, jakie może to mieć konsekwencje nie tylko dla rangi organizacji, ale i dla pozycji USA²⁷.

Szczyt ten uznano za polityczną i prestiżową porażkę Stanów Zjednoczonych. Umocniło to pewność siebie Rosji, która widząc nadwerżoną rangę Ameryki, kilka miesięcy później, w sierpniu 2008 r. przeprowadziła skuteczną operację militarną w Gruzji, odrywając od niej dwie separatystyczne republiki: Osetię Południową i Abchazję. Był to kolejny dowód na to, jak osłabła moc sprawcza Waszyngtonu. Można nawet powiedzieć, że administracja Busha ukazała w konflikcie gruzińskim całą swą bezradność i nieskuteczność. Co ciekawe, to misja prezydenta Francji, pełniącej wtedy przewodnictwo w UE, okazała się bardziej skuteczna, a na pewno przesądziła o zakończeniu działań zbrojnych. Natomiast USA straciły wiele ze swej wiarygodności, okazały się supermocarstwem niemal bezsilnym wobec ujawnionych na nowo mocarstwowych ambicji Rosji. Głos Ameryki był słaby słabością administracji Busha – jej dyplomacja zdawała się być pozbawiona mocnych narzędzi nacisku politycznego.

Bezradność USA dostrzec można było także w odniesieniu do innych regionów świata i problemów, choćby konfliktu izraelsko-palestyńskiego. Mimo podejmowanych wysiłków i składanych przez Waszyngton propozycji, wśród których największe szanse przez pewien czas miała tzw. mapa drogowa²⁸, nie posunął się naprzód proces budowania trwałego pokoju na Bliskim Wschodzie. Nie znaleziono także skutecznego rozwiązania problemu Iranu, który pracował nad własnym programem nuklearnym. Realne zagrożenie dla bezpieczeństwa światowego nadal stanowiła nuklearyzacja Korei Płn. *Last but not least*, nie tylko nie udało się zwalczyć terroryzmu, ale powstały nowe centra zagrożenia.

Lata urzędowania G. W. Busha w Białym Domu przejdą do historii jako czas zasadniczej zmiany zarówno w postrzeganiu Ameryki w świecie, jak i w ocenie jej globalnej roli. Zmniejszyła się amerykańska zdolność kształtowania sytuacji na arenie międzynarodowej, rozwiązywania problemów, skutecznej reakcji na wyzwania. Stany Zjednoczone zatraciły absolutną zdolność tworzenia koalicji i wspólnej z partnerami realizacji zadań. Ekipa Busha zmarnowała szansę, przed jaką stanęła po ataku terrorystycznym 11 września – zbudowania czegoś konstruktywnego na współczuciu, poparciu i solidarności. Nie wykorzystano okazji, aby umocnić amerykańskie przywództwo w świecie, oprzeć je na większym konsensusie, na wspólnocie zasad, celów i metod, a nie tylko czynniku siły militarnej. Ten bowiem – jak się okazało w Iraku

²⁷ Zob. J. P. Rubin, *Building a New Atlantic Alliance*, „Foreign Affairs” July/August 2008, No 4, s. 99.

²⁸ Plan, przedstawiony w czerwcu 2003 r., zakładał doprowadzenie w 3 etapach do powstania niepodległego państwa palestyńskiego. Propozycje te zostały wówczas zaakceptowane przez stronę izraelską i palestyńską, a także poparte przez społeczność międzynarodową. Później jednak strona palestyńska je odrzuciła; szerzej: M. Rączkiewicz, *Polityka Stanów Zjednoczonych Ameryki w okresie prezydentury G. W. Busha w ujęciu regionalnym*, Toruń 2011, s. 65-70.

i Afganistanie – nie zawsze był skuteczny i nie przysłużył się rozszerzaniu światowego porządku, raczej podważył rangę USA.

Barack Obama obejmował prezydenturę w trudnym dla Ameryki momencie. Chodziło nie tylko o pogarszającą się sytuację finansową w kraju i na świecie, wpędzającą Stany Zjednoczone, podobnie jak wiele innych państw, w największy od dziesiątków lat kryzys gospodarczy. Także w sensie geopolitycznym sytuacja była szczególna. Zdawał się odchodzić w przeszłość porządek, który wyłonił się po zakończeniu zimnej wojny – świat jednobiegunowy, zdominowany i kształtowany przez *Pax Americana*²⁹.

Pod koniec pierwszej dekady XXI w. bezwzględne wyznaczniki potęgi amerykańskiej pozostały znaczące. Pomimo trudnych interwencji w Iraku i Afganistanie państwo amerykańskie cały czas powiększało swój potencjał militarny. Nakłady na obronę – ponad pół biliona USD rocznie – stanowiły blisko 50 proc. światowych wydatków zbrojeniowych³⁰. Dzięki nim utrzymywała się dominacja Stanów Zjednoczonych we wszystkich rodzajach wojsk. Silna pozostała ich baza ekonomiczna oraz technologiczna, i to pomimo obserwowanych kłopotów finansowych. Starczy powiedzieć, że PKB Stanów Zjednoczonych osiągnął w 2008 r. wartość około 14 bln USD (PKB Rosji stanowił około 14 proc. amerykańskiego), a jego wzrost w ciągu minionych 25 lat był większy niż w Europie czy Japonii³¹.

Nie powinno to jednak przesłaniać względnego spadku potęgi USA. Udział Ameryki w światowym imporcie wyniósł w 2008 r. zaledwie 15 proc. Wprawdzie jej PKB stanowił jedną czwartą produktu globalnego, ale proporcja ta malała, ponieważ potęgi azjatyckie, w tym Chiny, rozwijały się znacznie szybciej niż Stany Zjednoczone. Choć amerykański potencjał naukowy, intelektualny i kulturalny pozostał niekwestionowany, to jednak zauważalne były nowe, groźne dla jego prymatu zjawiska, właśnie w sferze kultury i informacji. Rosła liczba kanałów telewizyjnych i filmów konkurencyjnych wobec produkcji amerykańskiej. Spadał udział amerykańskich stron internetowych w dostarczaniu wiadomości i komentarzy.

Temu wszystkiemu towarzyszyło osłabienie politycznych wpływów Ameryki w świecie, skłaniające do postawienia tezy o schyłku jej supremacji. Tak jak po zakończeniu zimnej wojny podjęto narodową debatę na temat amerykańskiej strategii w nadchodzących latach, tak u kresu prezydentury Busha juniora zastanawiano się nad zmianą roli i znaczenia USA w świecie, nad wielce prawdopodobnym zmierzchem ich prymatu. I chociaż nie brakowało głosów, że przywództwu Ameryki zaszkodziła polityka prowadzona przez ekipę Busha, to jednak wpływ na to miała również nowa konstelacja geopolityczna. Stany Zjednoczone wciąż były potęgą, ale funkcjo-

²⁹ Formułę jednobiegunowości jako porządku zdominowanego przez USA wykreował ponad dwie dekady temu Charles Krauthammer. On również przewidywał nadejście wielobiegunowości: „Za mniej więcej jedno pokolenie pojawiają się państwa dorównujące swoją potęgą Stanom Zjednoczonym i świat będzie w swojej strukturze przypominał epokę sprzed I wojny światowej” (Ch. Krauthammer, *The Unipolar Moment*, „Foreign Affairs” Winter 1990/1991).

³⁰ Wg F. Zakaria, *The Future of American Power*, „Foreign Affairs” May/June 2008, nr 3, s. 27.

³¹ Tamże.

nowały w świecie, w którym pojawiło się już bardzo wielu aktywnych i ważnych graczy. Wprawdzie tylko Ameryka dysponowała wszystkimi atrybutami supermocarstwa: ekonomicznymi, militarnymi, technologicznymi i politycznymi, a pozostałe mocarstwa posiadały zróżnicowane i często pojedyncze atuty, ale powodowały one, że na określonym polu miały one coraz więcej do powiedzenia. W świecie skomplikowanych powiązań i uzależnień, zwłaszcza gospodarczych, były one w stanie silniej niż kiedykolwiek wcześniej blokować, hamować, a nawet torpedować działania Waszyngtonu. Można było tę nową konstrukcję geopolityczną nazywać układem wielobiegunowym lub powrotem do stanu rywalizacji mocarstw. Można było mówić o świecie bez biegunów. Pojawiały się głosy o wkroczeniu w czas chaosu lub okresie przejściowym.

Bez względu na to, jak nazwiemy wyłaniający się w pierwszej dekadzie XXI w. porządek globalny, jego najważniejszym elementem było pojawienie się nowych potęg, których pozycję w dużym stopniu określał zwiększony potencjał gospodarczy. To czynniki ekonomiczne spowodowały, że na początku XXI w. nagle znaczenia nabrały nowe państwa i regiony. Na niespotykaną skalę rozwinęła się gospodarka Chin, Indii, państw Azji Południowo-Wschodniej, ale też następowała poprawa kondycji Rosji, niektórych państw Afryki i Ameryki Łacińskiej, w imponujący sposób zwiększała swój potencjał UE.

Nie wszystkie jednak kraje chciały z tego wzrostu pozycji korzystać tak samo. Początkowo wydawało się, że Chiny pragną większej władzy, prestiżu i uznania w świecie, lecz zamierzają to osiągnąć poprzez włączenie się do systemu międzynarodowego, a nie przez jego demontaż czy przekształcanie. To rosnąca potęga Chin powodowała, że region Azji Południowo-Wschodniej stawał się kluczowym wyzwaniem dla polityki amerykańskiej. Układ Ameryka – Chiny, pełen napięć, ale i wzajemnego uzależnienia, u progu drugiej dekady XXI w. coraz silniej wdzierał się na scenę globalną. Zresztą taki proces przewidywał już znacznie wcześniej Zbigniew Brzeziński, pisząc w *Wielkiej szachownicy*, że Stany Zjednoczone i Chiny to naturalni sojusznicy³². Niektórych problemów nie sposób było rozwiązać, a wyzwania przewyciężyć bez udziału Pekinu – tylko strona chińska mogła wpłynąć na reżim Korei Płn. i spowodować zablokowanie północnokoreańskiego programu nuklearnego. Siłą rzeczy Chiny stawały się więc udziałowcem ładu światowego i ich rola w tym kształtującym się porządku międzynarodowym nieubłaganie rosła.

Także Rosja była krajem, który pomimo „smuty” politycznej i załamania gospodarczego, towarzyszących rozpadowi Związku Radzieckiego, a potem kształtujących oblicze tego państwa w latach rządów Borysa Jelcyna, nigdy nie stracił zapału, aby odzyskać swą mocarstwową pozycję. Początek XXI w. sprzyjał realizacji tego celu. Wzrost cen ropy naftowej stał się impulsem dla gospodarki rosyjskiej, a brak perspektywicznej polityki energetycznej Zachodu uzależnił wiele państw od dostaw z Rosji. Rządy Władimira Putina, przywódcy zdeterminowanego, skutecznego i bezwzględnego, który silną ręką opanował chaos z lat 90., a następnie przywrócił Rosjanom op-

³² Z. Brzeziński, *Wielka szachownica...*, s. 190 i n.

tymizm oraz poczucie dumy, spowodowały, że pod koniec pierwszej dekady XXI w. Rosja nie przypominała już tej, z którą świat miał do czynienia wcześniej. Jej PKB wyniósł w 1999 r. 200 mld USD, a w 2008 r. sięgał już 2 bln USD. Dynamicznie rosły nakłady na zbrojenia – w 1999 r. przeznaczano około 3 mld USD, w 2008 r. było to już ponad 40 mld USD. Rosja zyskała nowy wizerunek i nowe możliwości działania. Putin zamierzał z tego korzystać, burząc nawet ustalone zasady postępowania i uciekając się do znanych z przeszłości metod działania: faktów dokonanych, szantażu energetycznego, egzekwowania siłą swych racji, odzyskiwania stref wpływów, czyli prowadzenia polityki imperialnej. Rosja zapragnęła być znowu nie tyle partnerem, ile rywalem i kreatorem na arenie światowej i w ten sposób ponownie wyznaczyć drugi biegun porządku światowego.

Powrót Rosji do roli aktywnego gracza na scenie międzynarodowej oraz pojawienie się w konstelacji geopolitycznej innych ambitnych potęg to też konsekwencja osłabienia Stanów Zjednoczonych. „Z powodu swoich posunięć i zaniedbań USA przyspieszyły proces powstawania alternatywnych ośrodków władzy i osłabiły własną pozycję wobec nich” – pisał amerykański analityk Richard N. Haass³³. Z kolei zdaniem amerykańskiego publicyisty Fareeda Zakarii chodziło nie tylko „o schyłek Ameryki, tylko o wzrost znaczenia całej reszty”³⁴. Bo przecież oprócz czołowych mocarstw w pierwszej dekadzie XXI w. mieliśmy już do czynienia z innymi potęgami regionalnymi, kształtującymi sytuację międzynarodową.

Taką potęgą o ograniczonym zakresie oddziaływania okazał się Iran. Korzystając, podobnie jak Rosja, ze wzrostu cen ropy naftowej, państwo ajatollahów wyrosło na mocarstwo regionalne, które nie tylko odmawiało podporządkowania się decyzjom wspólnoty międzynarodowej, domagającej się przerwania prac nad programem nuklearnym, ale wywierało coraz większy wpływ na sytuację w Iraku, Libanie, Syrii, a nawet inspirowało wydarzenia na terytoriach palestyńskich w Izraelu. Charakter tego państwa, antyzachodnia retoryka jego przywódców i prowadzona aktywność polityczna stanowiły zarówno zagrożenie dla amerykańskich interesów w tym regionie, jak i ograniczenie dla polityki Waszyngtonu.

W Ameryce Łacińskiej liczyła się Brazylia, być może Argentyna, Chile, Wenezuela. Problem z tą częścią świata polegał na tym, że Stany Zjednoczone, skoncentrowane na walce z terroryzmem, zaniedbały swych południowych sąsiadów. Nie potrafiły reagować w odpowiedni sposób na groźne dla ich interesów tendencje w tym regionie. Tymczasem Ameryka Łacińska stała się nie tylko lewicująca, ale skrajnie antyamerykańska. Ton nadawali rewolucyjni i populistyczni przywódcy, dla których wzorem był Fidel Castro, a nieformalnym liderem – Hugo Chávez. Atutem prezydenta Wenezueli była drożęjąca wówczas ropa naftowa. Zyski z eksportu służyły wspieraniu innych antyamerykańskich reżimów w Ameryce Łacińskiej. W ten sposób prezydent Wene-

³³ R. N. Haass, *Świat po Ameryce*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 31.05.2008; zob. też F. Zakaria, *The Future...*, s. 21-22.

³⁴ F. Zakaria, *The Post-American World*, New York 2008, s. 48.

zueli przejął rolę, którą poprzednio, w ramach czy to doktryny Monroe'a, czy polityki dobrosąsiedzkiej, pełniły w tym regionie USA.

Wenezuela stała się przy okazji kolejnym państwem zbijającym ogromny kapitał, także polityczny, dzięki rosnącym cenom ropy naftowej. To wzrost popytu na ten surowiec spowodował w ciągu niecałej dekady podniesienie jego ceny z 20 USD do grubo ponad 100 USD za baryłkę. Był to efekt nie tylko skomplikowanej sytuacji w Iraku, ważnego niegdyś eksportera ropy naftowej, ale również wzrostu zużycia ropy w świecie, a szczególnie w przeżywających gospodarczy boom Chinach, Indiach i samych Stanach Zjednoczonych. Brak amerykańskiej polityki energetycznej – zdaniem ekspertów – spowodował zachwianie porządku politycznego w świecie. Producenci ropy naftowej i gazu, dzięki gigantycznym wpływom ze sprzedaży tych surowców, dołączyli do geopolitycznych potęg³⁵.

Równocześnie sytuację komplikowały państwa słabe. Wprawdzie trudno się zgodzić z ówczesną tezą Francisca Fukuyamy, wedle której „dzisiejszy świat międzynarodowy tym się wyróżnia, że nie dominują w nim silne państwa, lecz te słabe i czasami chylące się ku upadkowi”³⁶. Niewątpliwie jednak w obliczu słabości rządów i kiepsko funkcjonujących struktur państwowych realną władzę przejmowały tam rozmaite, pozostające poza kontrolą państwową organizacje, jak np. Hezbollah w Libanie, Hamas w Palestynie, talibowie odzyskujący przy wsparciu innych radykałów i bojowników islamskich swe wpływy w Afganistanie. Ten właśnie świat państw słabych ograniczał Stany Zjednoczone – zmniejszał skuteczność ich działania politycznego i militarnego, osłabiając tym samym ich potęgę i czyniąc mniej wiarygodnymi. Fukuyama podawał przykład: USA przeznaczają na zbrojenia ogromne sumy, nieporównywalne z żadnym innym państwem. A jednak nie udało im się ustabilizować sytuacji w Iraku, mimo pięciu lat usilnych i kosztownych starań³⁷.

W tej nie do końca jeszcze wykrystalizowanej konstelacji geopolitycznej nową pozycję zajęła Europa. Spadkiem po „erze Busha” było dyskutowanie przez Europę słabnącej rangi Stanów Zjednoczonych. Stolicy europejskie zyskały wyjątkowy komfort w silnym artykułowaniu własnych poglądów, formułowaniu krytycznych wobec polityki amerykańskiej sądów, zajmowania nawet konfrontacyjnej w stosunku do Waszyngtonu postawy. Ten front antyamerykański posiadał dużą siłę przyciągania dla różnych krajów, dotychczas nawet odległych, jeśli idzie o interesy polityczne. Problemem był również mocno nadwerężony wizerunek Ameryki; prezydent Bush stał się w Europie jednym z najmniej lubianych przywódców politycznych. Niechęć do administracji Busha w jakimś stopniu była efektem utrzymującego się od wielu lat, zwłaszcza wśród elity intelektualnej Europy Zachodniej, antyamerykanizmu. Było to uczucie budowane na ogólnej niechęci do Amerykanów jako nuworzyszy, ignorantów, wykazujących tendencje do zachowań aroganckich, a ich liderów do działań niemal imperialnych. Wiele w tym było także utajonych kompleksów wobec supermocar-

³⁵ R. N. Haass, *Świat po Ameryce...*

³⁶ F. Fukuyama, *Epoka słabych państw*; „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 16.08.2008.

³⁷ Tamże.

stwa, które przed ponad półwieczem odebrało Europie przywództwo na arenie międzynarodowej, a wielce wysublimowanej kulturze europejskiej jej prymat w świecie.

Należało też wziąć pod uwagę rosnące poczucie niezależności Europy. Po okresie przeobrażeń pozimnowojennych znalazła się ona w sytuacji, w której utrzymanie bliskich więzi ze Stanami Zjednoczonymi było bardziej efektem świadomego wyboru niż konieczności. A to pozwalało stawiać warunki i zajmować pozycję zdecydowanie autonomiczną wobec amerykańskiego supermocarstwa, umożliwiało zerwanie etykiety posłusznego partnera. Na rosnące poczucie niezależności Europy wpływ miał również postępujący proces integracji europejskiej. Co więcej, wpływy polityczne UE w pierwszej dekadzie obecnego stulecia wzrastały kosztem Ameryki. Podczas gdy USA nieudolnie próbowały opanować sytuację w Iraku i powstrzymać eskalację działań zbrojnych w Afganistanie, Europa angażowała środki finansowe i kapitał polityczny, aby wciągnąć różne peryferyjne państwa w orbitę swoich wpływów. „Wiele biednych regionów świata uświadomiło sobie, że chcą europejskiego, a nie amerykańskiego marzenia” – pisał z pewną dozą przesady azjatycki ekspert Parag Khanna³⁸. Słabł bowiem w odbiorze Ameryki atrybut *soft power*, kiedyś dla niej charakterystyczny.

Natomiast sama UE tworzyła pewien wzorcowy model rozwoju, ale też służyła pomocą i wsparciem. „Europa bardziej przypomina Merkurego – chodzi z wypchanym portfelem” – twierdził Khanna, nawiązując do słynnej tezy Kagana o Europie z Wenus i Ameryce z Marsa³⁹. Rzeczywiście, rynek unijny stawał się największym na świecie, europejskie technologie w coraz większym stopniu wyznaczały standardy, a kraje UE należały do czołowych dystrybutorów pomocy rozwojowej, co procentowało większymi wpływami politycznymi. Stary Kontynent stawał się partnerem bardziej pożądanym, bo mniej kontrowersyjnym i aroganckim niż Ameryka. Był niemal zupełnie pozbawiony skłonności do działania jak hegemon. Myśl tę rozwijał Kagan: „Europa chce roli światowego autorytetu moralnego oraz wpływów politycznych i ekonomicznych, traktowanych jako antidotum na militarizm”⁴⁰.

Pod koniec pierwszej dekady XXI stulecia nadal otwartą kwestią pozostała natomiast skuteczność działania politycznego UE na arenie międzynarodowej. Czy UE stała się już wystarczająco zwartą i silną instytucją w zakresie bezpieczeństwa i polityki zagranicznej? Czy dysponowała mechanizmami i środkami, które pozwalały skutecznie reagować na wypadek niebezpieczeństwa? Czy była w stanie wypracować wspólne stanowisko i podjąć wspólne działania na arenie międzynarodowej? Tylko to mogło stanowić o realnej sile Europy na scenie światowej, jej możliwości rozwiązywania problemów politycznych. Przesądziłoby o pozycji UE jako skutecznego gracza na arenie międzynarodowej.

Pod tym względem nie stała się ona jeszcze alternatywą dla amerykańskiego przywództwa. Zbyt silne pozostawały jej inercja i zachowawczość. Wynikało to z różnic

³⁸ P. Khanna, *Pożegnanie z hegemonią*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 17.05.2008.

³⁹ Tamże.

⁴⁰ R. Kagan, *Koniec marzeń, powrót historii*, „Europa”. Dodatek do „Dziennika” 11.08.2007.

interesów, doświadczeń i celów, poszczególnych państw członkowskich UE. Udzielały one różnych odpowiedzi na wiele ważnych pytań strategicznych. Z perspektywy amerykańskiej i w sensie politycznym UE pozostała więc tworem nadal dość mgławicowym, targanym wewnętrznymi sprzecznościami, które uniemożliwiały odegranie roli ważnego i skutecznego aktora na scenie międzynarodowej.

Taki obraz świata i roli w nim Ameryki przejął Obama, gdy w styczniu 2009 r. wprowadzał się do Białego Domu. Musiał się on zmierzyć z zadaniami, od których rozwiązania zależeć miała nie tylko globalna sytuacja międzynarodowa, ale i znaczenie USA w świecie. Stosunkowo wcześniej udało mu się odzyskać dla Ameryki część jej dobrej reputacji, utraconej w okresie prezydentury Busha, a także osłabić negatywne emocje zgromadzone przez jego poprzednika – on sam już na starcie cieszył się ogromną sympatią światowej opinii publicznej. Ale pojawiło się też więcej harmonii i dobrej atmosfery w relacjach z sojusznikami i partnerami w Europie. Był to efekt zmiany stylu uprawiania polityki – zamiast arogancji i autorytaryzmu w podejmowaniu decyzji, przeważały działania dyplomatyczne i konsultacje. Także wobec wrogów i przeciwników administracja Obamy wystąpiła z ofertą rozmów, a to zrobiło w świecie dobre wrażenie.

Z kolei ujęcie Osamy bin Ladena w maju 2011 r. i jego natychmiastowa likwidacja została uznana przez Amerykanów za wielki sukces – zwieńczenie walki z terroryzmem i należne im zadośćuczynienie za hekatombę sprzed dekady. W tym sensie był to triumf Stanów Zjednoczonych, których ranga jako państwa konsekwentnie dążącego do celu i twardo realizującego wytyczone zadania wyraźnie się wzmocniła. Choć operacja przeciwko przywódcy Al-Kaidy była prawie wierną kontynuacją twardej polityki Busha, to jednak służyła odbudowie wizerunku Ameryki jako silnego i zdecydowanego lidera.

Po stronie aktywów zapisano także wyprowadzenie w grudniu 2011 r. żołnierzy amerykańskich z Iraku, choć przecież generalny bilans tej operacji wojskowej trudno było uznać za pozytywny. Zbrojna interwencja w Iraku okazała się tragiczną porażką Ameryki, a jej konsekwencje dostrzegalne były na różnych płaszczyznach i w różnych wymiarach. Irak pozostawiono w stanie chaosu politycznego, społecznego i gospodarczego, czyli zadanie nie zostało wykonane. Ale przynajmniej nie było już ryzyka dalszych ofiar po stronie amerykańskiej, co Obama mógł zapisać jako swój sukces⁴¹.

Godne globalnego przywódcy zdawało się być hasło budowy świata bez broni atomowej, zaprezentowane po raz pierwszy w kwietniu 2009 r., podczas pobytu Obamy w Pradze. Kreowało ono wizerunek czarnoskórego prezydenta jako lidera z wizją i wolą zmian. Propozycja ta okazała się jednak raczej piękną retoryką niż możliwym do realizacji planem. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że chodzi w niej o oczarowanie tłumów, co samo w sobie nie jest naganne, ale też nie stanowi realnego postępu na drodze denuklearyzacji świata. Realia wyglądały bowiem tak, że Korea Płn. nadal straszyla swym arsenałem, a Iran pozostawał nieustępliwy w sprawie własnego pro-

⁴¹ M. E. O'Hanlon, *Obama's Iraq Legacy*, July 13, 2012, www.brookings.edu/research/opinions/2012/07/13-obama-iraq-ohanlon.

gramu nuklearnego. Obama powrócił do wizji świata bez atomu w czerwcu 2013 r., podczas wizyty w Berlinie: „Po przemyśleniach doszedłem do wniosku, że możemy zapewnić bezpieczeństwo Ameryki i naszych sojuszników, redukując strategiczną broń atomową i liczbę głowic nuklearnych o jedną trzecią” – precyzował swą propozycję, przemawiając przed Bramą Brandenburską⁴². O nikłej szansie powodzenia jego planów świadczyła natychmiastowa reakcja Moskwy – daleka od przychylniej.

Mogło to wówczas nieprzyjemnie zaskoczyć Obamę, ponieważ innym polem, na którym jego administracja na początku odcisnęła spektakularne piętno, były właśnie relacje z Rosją. Symboliczne już „resetowanie” stosunków, ogłoszone w lutym 2009 r., samo w sobie było procesem potrzebnym. Na poprawie tych relacji oraz wciągnięciu Rosji do współpracy wiele można było skorzystać i takie przekonanie dominowało, zwłaszcza w Europie Zachodniej. Efektem pozytywnym było podpisanie w grudniu 2009 r. nowego traktatu *START*, poważnie zmniejszającego limit amerykańskich i rosyjskich głowic jądrowych. *Reset* służył też doraźnym celem, związanym z udostępnieniem poradzieckiej przestrzeni dla transportu dostaw do Afganistanu. Z kolei Stany Zjednoczone umożliwiły Rosji wejście do Światowej Organizacji Handlu, wierząc, że tym samym wciąga się ją w orbitę światowej wymiany i skłania do przestrzegania powszechnie przyjętych reguł. W każdym razie administracja Obamy z dumą traktowała swoje działania na rzecz pozyskiwania Rosji, jakby sugerując, że potrzebuje jej bardziej niż kiedyś.

Z drugiej jednak strony *reset* stosunków z Rosją, prócz jej nadmiernej nobilitacji, oznaczał rezygnację z pierwotnych planów budowy tarczy antyrakietowej, co wyraźnie uderzało w interesy bezpieczeństwa niektórych państw z Europy Środkowo-Wschodniej. Dlatego bezpośrednim efektem polityki wobec Rosji był spadek poparcia i sympatii dla Ameryki oraz samego Obamy w tej części Europy. Złe wrażenie wywołała też dwuznaczna, poufna rozmowa prezydentów Obamy i Dmitrija Miedwiediewa w marcu 2012 r., potwierdzająca, jak bardzo Biały Dom liczy się z punktem widzenia Moskwy i jej interesami. „Resetowanie” stosunków z Rosją przekroczyło więc pewną niebezpieczną linię, w konsekwencji raczej osłabiając międzynarodową pozycję Stanów Zjednoczonych.

Ostrej ocenie poddawano także styl działań administracji Obamy podczas jego pierwszej kadencji w Białym Domu. Wprowadzie polityka czystej dyplomacji, ukazywania łagodniejszej twarzy Ameryki, czy to w odniesieniu do Iranu, czy wobec świata muzułmańskiego (nawet kosztem mocno wówczas nadwerężonych stosunków z Izraelem), może i służyła poprawie wizerunku USA w różnych częściach globu. Nie oznaczała jednak przywrócenia skuteczności ich polityki oraz wzmocnienia rangi światowego lidera. Nie negując znaczenia zmiany postrzegania Ameryki, co było niezbędne po epoce Busha, to od Stanów Zjednoczonych, które wprowadzie zatraciły już

⁴² *Statement on President Obama's June 19 Address in Berlin on Eliminating Nuclear Weapons Threats*, www.armscontrol.org/print/5819. Warto dodać, że wystąpienie Obamy miało miejsce w 50. rocznicę słynnej berlińskiej mowy Johna F. Kennedy'ego, który po zachodniej stronie miasta, wołał: „Ich bin ein Berliner”. Wówczas było to wyrazem solidarności Ameryki z mieszkańcami podzielonego murem miasta.

markę hegemonu, ale utrzymały atrybuty supermocarstwa, wymagać należało większej determinacji, odwagi w działaniu oraz skuteczności. Tym bardziej że Ameryka funkcjonowała już w świecie zróżnicowanych i silnie ze sobą konkurujących potęg, w którym liczyła się nie tylko dyplomacja, ale i potencjał oraz gotowość jego wykorzystania. Tymczasem mówienie o „łagodzącym wpływie pokory i powściągliwości” być może miało swój walor w zestawieniu ze stylem działań administracji Busha, ale na dłuższą metę nie służyło odbudowie pozycji światowego przywódcy.

Podobnie można ocenić reakcję Stanów Zjednoczonych na „arabską wiosnę” w 2011 r. Uderzało początkowe zagubienie administracji Obamy wobec wydarzeń w Tunezji, Egipcie i innych państwach Afryki Północnej i Bliskiego Wschodu. Ale nawet podjęcie działań zbrojnych w Libii w marcu 2011 r. nie zmieniło wrażenia słabości amerykańskiego przywództwa. Po pierwsze, to nie USA były inicjatorem akcji zbrojnej przeciwko reżimowi płk. Muammara Kaddafiego, jedynie się do niej – po chwili wahania – przyłączyły. Po wtóre, w zainicjowanej przez Francję i Wielką Brytanię operacji zbrojnej Paktu Północnoatlantyckiego to nie Waszyngton odgrywał rolę pierwszoplanową, raczej starał się trzymać w cieniu, kierując nią „z tylnego siedzenia”⁴³. Operacja *NATO*, w której strategiczne decyzje nie należały do Amerykanów, była sytuacją bezprecedensową. Nie pozostało to bez wpływu na wizerunek Ameryki, a wrażenia tego nie zmienił fakt, że państwa europejskie szybko okazały się niezdolne do podłożenia wyzwaniu w Libii i konieczne stało się szersze odwołanie do amerykańskich zasobów militarnych⁴⁴. Wreszcie po trzecie, Stany Zjednoczone nie sprostały wyzwaniu, jakim było wsparcie dla nowych władz, wyłonionych po „arabskiej wiosnie”. Zabrakło determinacji, konsekwencji, a przede wszystkim przekonania, że USA powinny choćby koncepcyjnie zaangażować się w kształtowanie nowego porządku na obszarze przechodzącym „epokową transformację”. A to przecież leżało w domenie światowego lidera. Uznanie zasady, że najlepsze, co Ameryka może zrobić, to trzymać się z boku, pozostawiając sprawy w Egipcie, Libii, Tunezji, a przede wszystkim Syrii, gdzie reżim Baszara al-Asada nadal krwawo tłumił zamieszki, swojemu biegowi, okazało się taktyką nieskuteczną⁴⁵. Proces transformacji w państwach „arabskiej wiosny” podążył więc w kierunku dość niebezpiecznym i rewolucja ta otworzyła islamskim radykałom drogę do władzy albo wpędziła te kraje w stan wielkiego chaosu.

Niepowodzenia pierwszej kadencji prezydentury Obamy spowodowały, że u jej kresu powrócono do tezy o świecie poamerykańskim. Chodziło nie tylko o konkurencyjność Chin i pozostałych państw z grupy tzw. *BRIC*, ale też o działania administracji, które osłabiały potencjał i rangę Ameryki. Tak można było ocenić zapowiedziane wielkie cięcia w amerykańskim budżecie obronnym, marginalizowanie współpracy

⁴³ Zob. M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O’Hanlon, *Bending History. Barack Obama’s Foreign Policy*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2012, s. 158; zob. też J. S. Nye, *Presidential Leadership and the Creation of the American Era*, Princeton Univ. Press 2013, *passim*.

⁴⁴ Zob. szerzej: J. Kiwerska, *Rozchodzenie się dwóch światów...*, s. 372-373.

⁴⁵ Zob. M. Doran, *Is Obama Like Eisenhower?* October 2013, www.brookings.edu/research/articles/2013/09/obama-middle-east-eisenhower-d.

z Europą i redukcję wojskowej obecności na kontynencie europejskim, a skoncentrowanie uwagi na Dalekim Wschodzie, okrzyknięte hasłem *pivot to the Pacific Rim*⁴⁶, wreszcie osłabienie wpływów USA w innych regionach świata. Na wiele problemów i wyzwań administracja Obamy nie znalazła skutecznej odpowiedzi i nie zaprezentowała godnej lidera wizji, jak choćby w odniesieniu do konfliktu żydowsko-palestyńskiego, „arabskiej wiosny” i jej konsekwencji, proliferacji broni masowego rażenia, czy – odchodząc od problemów politycznych – nieustającej ekonomicznej konkurencji Chin i nadal nieprzezwyciężonych skutków światowego kryzysu gospodarczego. Tymczasem pojawiły się kolejne skazy na wizerunku Ameryki. Taki skutek miała tzw. afera podsłuchowa, która wybuchła w maju 2013 r., gdy administrator systemów komputerowych amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego Edward Snowden ujawnił opinii międzynarodowej, że USA prowadzą szeroką inwigilację świata. Była to już kolejna afera związana z wyciekiem pilnie strzeżonych tajemnic amerykańskich. Wcześniej, pod koniec 2010 r., portal internetowy *WikiLeaks* rozpoczął publikację tajnych dokumentów, w tym depeš dyplomatycznych, wysyłanych z amerykańskich placówek na całym świecie do waszyngtońskiej centrali. Były to doniesienia często kompromitujące samych autorów notatek, ale też zagranicznych polityków i wysokich urzędników dyplomacji, a nawet przywódców państw. Ujawnione dokumenty, zdobyte nielegalnie dlatego, że amerykańskie służby niezbyt do brze je zabezpieczyły, obnażyły nie tylko owe służby, ale przede wszystkim państwo amerykańskie, którego organy nie zdołały zapobiec wyciekowi poufnych materiałów.

Także kryzys budżetowy, do jakiego doszło w Waszyngtonie jesienią 2013 r., podważył wiele atrybutów Ameryki. Odmowa uchwalenia budżetu państwa przez republikańską większość w Izbie Reprezentantów spowodowała nie tylko zamknięcie na kilkanaście dni federalnych urzędów i instytucji oraz przymusowy urlop dla setek tysięcy urzędników, czyli *de facto* paraliż kraju, ale też podważyła zaufanie do USA i zburzyła ich obraz jako państwa niezwykle sprawnego i dobrze zarządzanego. Przecież Stany Zjednoczone niemal od początku istnienia funkcjonowały w powszechnej świadomości jako modelowy organizm demokratyczny i wzór dobrze działających instytucji państwowych. Na tym między innymi budowały one swą silną pozycję i znaczenie w świecie. Wydarzenia jesieni 2013 r. osłabiły ten wizerunek. Przyznał to sam prezydent: „Prawdopodobnie nic nie zaszkodziło amerykańskiej wiarygodności na świecie bardziej niż spektakl, którego świadkami byliśmy w minionych tygodniach”⁴⁷.

A świat potrzebował silnego przywództwa, choćby ze względu na dramatycznie zmieniającą się sytuację międzynarodową. Na czoło nierozwiązanych problemów wysuwała się trwająca w Syrii wojna domowa, okupiona coraz większą liczbą zabitych, głównie wśród cywilów – szacunki z połowy 2013 r. wskazywały już na ponad 100 tys. zabitych. Administracja Obamy nie zdecydowała się na wsparcie militarne, choćby w formie sprzętu wojskowego dla walczących z reżimem Asada powstańców. Nawet użycie – prawdopodobnie przez wojska Asada – w sierpniu 2013 r. broni

⁴⁶ M. S. Indyk, K. G. Lieberthal, M. E. O'Hanlon, *Bending History...*, s. 56-59.

⁴⁷ Telewizyjne wystąpienie prezydenta B. Obamy, CNN, 17.10.2013.

chemicznej, nie zmusiło Amerykanów do działania. Prezydent zachował się kunktatorsko, gdyż decyzję o użyciu siły scedował na Kongres, gdzie można się było spodziewać sprzeciwu. A przecież rok wcześniej Obama zapowiadał, że atak bronią masowego rażenia będzie traktowany jako przekroczenie „czerwonej linii” i spotka się z ostrą reakcją Ameryki⁴⁸.

Tej reakcji nie było, bo Obama poddał się nastrojom Amerykanów, niechętnych kolejnym akcjom zbrojnym, prowadzonym w ich imieniu w różnych, odległych regionach świata. Można zrozumieć przyczyny takiej postawy po przykrych doświadczeniach w Afganistanie czy Iraku – dotychczasowe wojny kosztowały miliardy dolarów, podczas gdy Amerykanie w wyniku kryzysu tracili pracę, domy i poczucie bezpieczeństwa. Było jednak groźnym precedensem, gdy przywódca państwa, uchodzącego za główny czynnik porządku międzynarodowego, pod wpływem nastrojów społecznych boi się interweniować i to nawet z pobudek humanitarnych. Mogło to mieć groźne konsekwencje, nie tylko dla pozycji i rangi tego państwa w świecie, ale przede wszystkim dla układu globalnego. Co gorsze, administracja Obamy przystąpiła na ofertę mediacji dyplomatycznej ze strony Rosji. Propozycja złożona przez głównego protektora reżimu Baszara al-Asada, aby syryjska broń chemiczna została przekazana międzynarodowym obserwatorom i następnie zniszczona, okazała się dla Waszyngtonu zbawczym wyjściem z dylematu: interweniować czy nie. Najwięcej zaś politycznych i prestiżowych profitów uzyskała Rosja, która wystąpiła w roli głównego rozgrywającego ten największy ostatnimi czasy konflikt międzynarodowy. Prezydent Putin zyskał ważny głos w decydowaniu nie tylko o losach Syrii – udało mu się uchronić swego protegowanego Asada przed konsekwencjami jego krwawej polityki, ale pośrednio przesądził także o tym, że nie doszło do amerykańskiej interwencji zbrojnej. Ogromne rozczarowanie odczuwali syryjscy bojownicy, którzy liczyli na amerykańskie ataki wymierzone w strategiczne obiekty armii rządowej. Wzmocniłyby to ich szanse w nierównej walce z reżimem w Damaszku. Liczenie na Amerykę okazało się jednak złudne. Rosło więc poczucie, że losy powstańców nie obchodzą świata zachodniego i nie mogą już oni spodziewać się stamtąd pomocy⁴⁹. W ten sposób wytworzyła się przestrzeń dla islamskich terrorystów. Stosunkowo szybko opanowali oni ogarnięte chaosem przygraniczne obszary Iraku oraz Syrii, gdzie zatarł się już front walki z reżimem Asada. Do połowy 2014 r. przejęli też kontrolę nad północnymi prowincjami Syrii, a 29 czerwca 2014 r., na ziemiach przez siebie kontrolowanych proklamowali powstanie kalifatu pod nazwą Państwa Islamskiego.

Chociaż od sierpnia 2014 r. Amerykanie prowadzili naloty na pozycje bojowników „Państwa Islamskiego” i utworzona została koalicja wsparcia grupująca niektóre państwa europejskie oraz państwa regionu bliskowschodniego, to efekty były dość mizerne. Mobilność dżihadystów była tak duża, że udawało im się umknąć przed

⁴⁸ Remarks by the President to the White House Press Corps, www.whitehouse.gov/the-press-office/2012/08/20remarks-president-white-house-press-corps; zob. też J. Ball, *Obama issues Syria a "red line" warning on chemical weapons*, „The Washington Post” 20.08.2012.

⁴⁹ Zob. B. Momani, C. Schachter, *Obama is Losing the Hearts and Minds of the Arab World*, www.brookings.edu/research/opinions/2013/09/09-obama-arab-world-syria-mo.

nalotami, a granice ich samozwańczego państwa poszerzały się. Te spektakularne niepowodzenia USA w starciu z „Państwem Islamskim” otworzyły przed Putinem szansę ponownego wkroczenia do rozgrywki międzynarodowej. W lecie 2015 r. Rosja rozpoczęła przerzucanie do Syrii sprzętu wojskowego i jednostek bojowych, a następnie z ogromną determinacją i na dużą skalę podjęła działania zbrojne, oficjalnie wspierające wojska rządowe w walce z „Państwem Islamskim”, a w rzeczywistości włączyła się do trwającej wojny domowej po stronie reżimu Asada.

Paradoksalnie USA i ich sojusznicy wydawali się akceptować zaangażowanie Rosji, jakby uznając, że bez jej pomocy nie uda się pokonać radykałów z samozwańczego kalifatu. Można było nawet odnieść wrażenie, że Amerykanie są z tego zadowoleni – Moskwa zdejmowała z ich barków ciężar walki z „Państwem Islamskim”. Nasuwało się pytanie, jaka będzie tego cena. „Bezczynne patrzenie, jak Rosjanie przejmują inicjatywę, to dowód całkowitej abdykacji Ameryki z przywództwa i odpowiedzialności w regionie” – twierdził Christopher Harmer, analityk z waszyngtońskiego *Institute for the Study of War*⁵⁰. Bez względu, czy była to opinia przesadzona, nie ulegało wątpliwości, że Rosja wraca do wielkiej gry w tym regionie świata kosztem amerykańskiego przywództwa.

Tymczasem rosła liczba ofiar wojny w Syrii oraz liczba uchodźców, którzy w ogromnej masie docierali do sąsiednich krajów. Kolejnym etapem rozgrywającego się na Bliskim Wschodzie dramatu była bezprecedensowa fala uciekinierów syryjskich, którzy opuszczali obozy uchodźców w Libanie, Jordanii, Turcji – zgromadziło się ich tam łącznie ponad 4 mln i próbowali dotrzeć do Europy. Podobną, dramatyczną migrację podjęli Afgańczycy, mieszkańcy Libii i innych biednych lub upadłych państw afrykańskich. USA były w dużym stopniu odpowiedzialne lub współodpowiedzialne za powstałą sytuację; „wędrowniacy ludów” była konsekwencją nieudanych interwencji USA w tych regionach świata, czyli nieskutecznego amerykańskiego przywództwa.

Kolejnym testem przywództwa Stanów Zjednoczonych okazał się konflikt na Ukrainie. Nie będzie przesady w stwierdzeniu, że deprecjacja roli i rangi USA w świecie była jednym z czynników, które legły u podstaw neoimperialnej polityki Putina. Niewątpliwie miał on świadomość różnych niedostatków prezydenta Obamy jako światowego lidera, wielokrotnie wykazującego brak determinacji i odwagi nie tylko w działaniu, ale nawet w podejmowaniu decyzji. Łatwo ulegał on nastrojom amerykańskiej opinii publicznej, niechętniej militarnemu zaangażowaniu Stanów Zjednoczonych i pod jej wpływem wycofywał się ze złożonych deklaracji politycznych oraz zobowiązań militarnych. Putin obserwował, jak Ameryka czasów Obamy dokonuje zwrotu ku Pacyfikowi, gdyż region dalekowschodni stał się jej nowym wyzwaniem – i to zarówno w sensie gospodarczym, jak i politycznym. Następował natomiast odwrót od Europy, która wydawała się już bezpieczna i stabilna, a prócz tego nie spełniała amerykańskich oczekiwań, że będzie „partnerem w przywództwie” i przejmie

⁵⁰ Cyt. w: N. A. Youssef, S. Harris, *Russia to Start Bombing in Syria ASAP*, 21.09.2015, www.thedailybeast.com/articles/2015/09/21/russia-to-start-bombing-in-syria-asap.html.

od Ameryki część obowiązków w zakresie bezpieczeństwa i ładu międzynarodowego. Lider Rosji widział też podważane na różnych polach zaufanie do skuteczności i wiarygodności Stanów Zjednoczonych i utratę przez nie sympatii, nawet w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Wreszcie, dostrzegał kłopoty *NATO* spowodowane nie tylko trudną misją w Afganistanie, ale też procesem dezintegracji tego najważniejszego sojuszu polityczno-wojskowego. Sojusz miał już tzw. ewentualnościowe plany obronne, przyjęte w 2010 r., podczas szczytu w Lizbonie, obejmujące jego członków z Europy Środkowo-Wschodniej, ale tak naprawdę trudno było przesądzić o ich wadze i skuteczności⁵¹. Co więcej, w przeciwieństwie do Rosji, gdzie rosły nakłady na obronę (blisko 5 proc. PKB), w wielu państwach członkowskich *NATO*, a nawet w Stanach Zjednoczonych, budżety obronne zredukowano (w zdecydowanej większości państw europejskich wynosiły znacznie poniżej 2 proc. PKB).

Wszystko to sprzyjało zamiarom prezydenta Putina. Jego celem było pokazanie, że Rosja stała się ponownie równie ważnym jak Stany Zjednoczone graczem na arenie międzynarodowej, z którym należy się liczyć i który egoistycznie waży swoje interesy bez względu na poczucie bezpieczeństwa innych i reakcję otoczenia. Aneksja Krymu na przełomie lutego i marca 2014 r., stanowiąca jawne pogwałcenie suwerenności niepodległego państwa, a następnie inspirowanie i wspieranie przez Moskwę grożącej rozpadem kraju krwawej rebelii we wschodniej części Ukrainy, było wyrazem poczucia bezkarności i pewności siebie rosyjskiego przywódcy. Nauczony doświadczeniem bierności Europy i jej kłopotów z wypracowaniem wspólnego stanowiska wobec problemów międzynarodowych oraz wiedząc o kunktatorstwie administracji Obamy, mającego kłopoty z podejmowaniem decyzji, intensyfikował odbudowę imperium.

Niewątpliwie, konflikt na Ukrainie stał się wielkim wyzwaniem dla Zachodu. W momencie tak kluczowym i dramatycznym, jak wydarzenia na Ukrainie, grożące eskalacją zagrożenia i podważające bezpieczeństwo europejskie, jedynym mocarstwem, które było w stanie zmierzyć się z ambicjami Rosji i próbować skutecznie ją powstrzymać, pozostała Ameryka. Spoglądano w stronę Waszyngtonu, oczekując jego reakcji. Kryzys ukraiński miał być ważnym testem wiarygodności amerykańskiego przywództwa w świecie. Trzeba przyznać, że riposta Stanów Zjednoczonych na działania Moskwy była stosunkowo ostra. Prezydent Obama w pierwszej reakcji na zbrojną operację krymską zapowiadał, że Rosja „zapłaci cenę za agresję przeciwko Ukrainie”, zaś sekretarz stanu John Kerry wysłał komunikat, że „Rosja dokonuje aktu agresji i łamie prawo międzynarodowe”, a potem groził, że „będziemy ją izolować politycznie i ekonomicznie, jeśli nie zaprzestanie inwazji na Ukrainę”⁵². Za słowami

⁵¹ Planu ewentualnościowe to jeden z najbardziej chronionych sekretów *NATO*. Jedyne, co wiemy, pochodzi z materiałów opublikowanych przez *WikiLeaks*. Według tych informacji polską armię wspomagałoby pięć dodatkowych dywizji, lądujących na polskich lub niemieckich lotniskach. Ciężki sprzęt dotarłby drogą morską przez Świnoujście. Transport jednak trwałby trochę i w pierwszej fazie konfliktu wspierałyby nas tylko sojusznicze samoloty i ewentualnie wojska specjalne, I. Traynor, *WikiLeaks cables reveal secret NATO plans to defend Baltic from Russia*, „The Guardian” 06.12.2010.

⁵² *Ukraine crisis: Obama warns Russia against intervention*, 1 March 2014, BBC News, www.bbc.com/news/world-europe-26394846; *Kerry condemns Russia's "incredible act of aggression in*

poszły działania. Już na początku marca 2014 r. administracja Obamy wprowadziła pierwsze sankcje – restrykcjami objęto m.in. kilka finansowych instytucji w Rosji, a zakazem wjazdu do Stanów Zjednoczonych – niektóre osobistości z otoczenia prezydenta Putina, zarówno polityków, jak i biznesmenów. Nie były to restrykcje o znaczeniu egzystencjalnym dla Rosji, jednak miały swój ciężar polityczny⁵³. Prestiżowe zaś znaczenie miała decyzja o wykluczeniu Rosji z grona państw G8, które tym samym powróciło do pierwotnej formuły G7.

Ta dość zdecydowana reakcja Waszyngtonu jawiła się jeszcze wyraźniej na tle pierwszych działań, a bardziej braku konkretnych kroków po stronie sojuszników europejskich. UE, chociaż zaprezentowała pewną stanowczość, a nawet zdobyła się na bardzo krytyczne słowa, daleko wykraczające poza tradycyjną dla niej inercję i wstrzemięźliwość w gestach pod adresem Moskwy – miała jednak kłopoty z wypracowaniem jednoznacznego stanowiska. Wynikało to ze zróżnicowanego podejścia poszczególnych państw członkowskich do Rosji, uzależnionego najczęściej od skali ich gospodarczych powiązań z Moskwą. Dopiero zestrzelenie – najprawdopodobniej przez rosyjskich separatystów – pasażerskiego samolotu linii malezyjskich nad wschodnią Ukrainą 17 lipca 2014 r. spowodowało zmianę zachowania państw członkowskich UE i zastosowanie wobec Rosji sankcji gospodarczych, wymierzonych w kluczowe działy gospodarki rosyjskiej.

Natomiast administracja Obamy od początku uznała, że w relacjach z Rosją czynnik ukraiński powinien być traktowany jako wyznacznik strategiczny – chodziło o odzyskanie niekwestionowanej inicjatywy na arenie międzynarodowej oraz zmanifestowanie determinacji i skuteczności w politycznym starciu z Putinem. Dlatego USA wprowadzały sukcesywnie i zdecydowanie kolejne sankcje wobec Rosji, uznając że jest to obowiązkiem światowego lidera. Neoimperialna polityka Putina uzmysłowiła amerykańskim strategom, że stabilność w Europie nie jest stanem danym raz na zawsze; Rosja znowu staje się zagrożeniem dla ustalonego w Europie porządku oraz wyzwaniem dla roli i rangi Stanów Zjednoczonych w świecie. Nie należy wobec tego odsuwać spraw europejskich na dalszy plan – Europa powinna pozostać jednym z najważniejszych, jeśli nie najważniejszym zobowiązaniem Ameryki w zakresie bezpieczeństwa⁵⁴.

Zagrożenie wywołane ekspansywną polityką Rosji stało się więc czynnikiem umocnienia w ostatnich latach dość nadwerężonych związków militarnych i politycz-

Ukraine”, March 2, 2014, Reuters, www.reuters.com/article/2014/03/02/us-ukraine-crisis-usa-kerry-idUSBREA210DG20140302.

⁵³ O tym, że sankcje nałożone na grupę związanych z Kremlem biznesmenów i polityków to zbyt mało, przekonywał członek senackiej komisji spraw zagranicznych w kwietniu 2014 r. I. Brzeziński, syn Z. Brzezińskiego. Jego zdaniem „Rosjanie są dumni z tego, że w historii potrafili przetrwać kryzysy gospodarcze. Sankcje ograniczone do zamkniętej grupy ludzi i kilku banków nie zmuszą autorytarnego reżimu, by przemyślał swoje działania”. Testimony of Ian J. Brzezinski, US Senate Committee on Foreign Relations. Subcommittee on European Affairs, 10.04.2014 www.foreign.senate.gov/imo/media/doc/Brzezinski_Testimony.pdf.

⁵⁴ F. Hill, C.G. Gaddy, *Mr. Putin. Operative in the Kremlin*, The Brookings Institution, Washington D.C. 2015, s. 264-265.

nych między USA a europejskimi sojusznikami. Efektem stała się amerykańska obecność wojskowa w środkowowschodniej części Europy. Wzmocnieniu więzi transatlantyckich służyły również decyzje podjęte podczas szczytów *NATO*, najpierw na początku września 2014 r. w Newport, a następnie na początku lipca 2016 r. w Warszawie, których celem było m.in. zabezpieczenie wschodniej flanki Sojuszu. Czyniły one z *NATO* na powrót skuteczny filar współpracy transatlantyckiej, odstrasżający potencjalnych wrogów, a także ważne narzędzie amerykańskiego przywództwa w świecie.

Paradoksalnie, w dramacie Ukrainy można więc było dostrzec pozytywne aspekty. Agresywna polityka Putina spowodowała polityczne ożywienie Stanów Zjednoczonych i ich „zwrot” ku Europie, która stała się ponownie bardzo ważnym zobowiązaniem Ameryki w zakresie bezpieczeństwa. Prezydent Obama, deklarując silniej niż kiedykolwiek dotąd, że jest gotowy to zobowiązanie wypełnić, zachował się jak zdeteterminowany i wiarygodny przywódca. Jakkolwiek w pewnym momencie to Niemcy i Francja zaczęły grać „pierwsze skrzypce” w dyplomatycznej batalii o rozwiązanie konfliktu na Ukrainie, detronizując w tej roli USA, to jednak administracja Obamy wykazała wystarczająco dużo determinacji, skutecznie mobilizując też sojuszników do solidarnej postawy. Jest to immanentną cechą lidera.

Pytaniem natomiast pozostało, czy Ameryka, choć nie jest już hegemonem i jej rola w ostatnich latach przeszła widoczną ewolucję, stała się liderem o ograniczonej skuteczności? Choć nadal z wielkim potencjałem, nie zawsze działa z determinacją i odwagą, popełnia błędy i ponosi porażki – czy zatem zechce i będzie w stanie nadal tę rolę przywódczą pełnić? Odpowiedź na to pytanie jest bardzo ważna, zwłaszcza wobec świadomości, że świat XXI w. stawia wyzwania o wyjątkowym charakterze. Mierzymy się z terroryzmem groźniejszym niż kiedykolwiek, który silnie definiuje i prawdopodobnie dalej określać będzie kwestie bezpieczeństwa oraz porządku międzynarodowego. Żyjemy w świecie zróżnicowanych potęg i ten proces rozpraszania sił globalnych będzie postępował dalej. Ogromnym zagrożeniem pozostaje Rosja ze swoimi ambicjami imperialnymi.

Stany Zjednoczone jawią się zatem jako jedyne supermocarstwo zdolne podjąć te i inne wyzwania. Chociaż nie będzie już raczej możliwości zdominowania świata zróżnicowanych potęg przez pojedyncze mocarstwo, nawet tak potężne jak Ameryka, to jednak jako przywódca współdziałający z innymi partnerami i wykorzystujący w sposób rozważny i adekwatny dostępne im środki i metody działania, stanowią one nadal ważny czynnik utrzymania stabilności w świecie. Tylko czy następny lider amerykański Donald Trump sprawdzi się w takiej roli? Pewności nie mamy żadnej.

Prof. dr hab. Jadwiga Kiwerska, Instytut Zachodni, Poznań (kiwerska@iz.poznan.pl)

Słowa kluczowe: Stany Zjednoczone, przywództwo, amerykańska polityka zagraniczna, stosunki transatlantyckie

Keywords: United States, leadership, American foreign policy, Transatlantic relations

ABSTRACT

The world leadership of the United States has recently undergone a significant evolution. At the end of the Cold War the USA was the only superpower, exerting immense influence on the resolution of global and regional problems. In the 1990s America continued to maintain its dominant role in the world. The dynamism of events at the onset of the 21st century, mistakes in American policy and a changing international environment markedly weakened the USA's capacity and readiness to tackle challenges and solve problems. America expected support and greater involvement on the part of its allies/partners in fulfilling its obligations on the international arena. Thus, the future of the American leadership remains an open question.